

**Amélie Nothomb**

# **Dziennik Jaskółki**

*przełożyła Joanna Polachowska*

Człowiek budzi się w ciemnościach i nic nie wie. Gdzie jest, co się dzieje? Przez krótką chwilę nic nie pamięta. Nie wie, czy jest dzieckiem, czy dorosłym, czy jest winny, czy niewinny. Czy to ciemności nocy, czy więzienia?

Wie tylko jedno, z tym większą ostrością, że to jego jedyny bagaż: jest żywy. Nigdy nie był aż tak żywy. Czym jest życie w tym ułamku sekundy, kiedy człowiek ma rzadki przywilej braku tożsamości?

Jest strachem.

Trudno o większą wolność niż ta krótka amnezja po przebudzeniu. Człowiek jest jak niemowlę umięjące mówić. Może coś powiedzieć o nienazwanym odkryciu swoich narodzin: trafił do świata strachu żywych.

W tej krótkiej chwili autentycznego przerażenia zapomina, że na jawie zaraz po przebudzeniu mogą występować podobne zjawiska. Wstaje, szuka drzwi, zagubiony jak w hotelu. A potem wspomnienia jednym błyskiem zespalają ciało i przywracają to, co zastępuje mu duszę. Człowiek czuje się uspokojony i zawiedziony: jest więc tym i tylko tym.

Momentalnie orientuje się w topografii swojego więzienia. Obok sypialni jest łazienka, w której polewa się lodowatą wodą. Co próbuje zmyć z twarzy w tym zimnie i z taką energią? A potem zaczyna się zwykły kołowrót. Każdy ma własny, kawa-papieros, herbata-tost, pies-smycz, wszystko tak zaplanowane, żeby się jak najmniej bać.

W rzeczywistości przez cały czas zmagamy się ze strachem. Wymyślamy różne definicje, żeby przed nim uciec: nazywam się tak i tak, pracuję tu i tu, mój zawód polega na robieniu tego czy tamtego.

Ale strach, zepchnięty głęboko, nie przerywa swojej kreciej roboty. Nie można go całkiem zakneblować. Myślisz, że nazywasz się tak i tak, że twoja praca polega na robieniu tego czy tamtego, ale w chwili przebudzenia nic z tych rzeczy nie istniało. Możliwe, że w ogóle nie istnieje.

Wszystko zaczęło się osiem miesięcy temu. Przeżyłem właśnie zawód miłosny tak głupi, że lepiej nie mówić. Do cierpienia dochodził jeszcze wstyd z powodu tego cierpienia. Żeby uwolnić się od bólu, wyrwałem sobie serce. Operacja była łatwa, ale mało skuteczna. Siedlisko bólu przetrwało, pozostało wszędzie, na skórze i pod skórą, w oczach, w uszach. Moje zmysły były wrogami, przypominającymi mi nieustannie o tej idiotycznej historii.

Postanowiłem więc uśmiercić zmysły. Wystarczyło znaleźć wewnętrzny przełącznik i

przeniosłem się do świata ni to ciepła, ni to zimna. Było to samobójstwo sensoryczne, początek nowej egzystencji.

Od tej pory nie czuję już bólu. Nie czuję już nic. Zniknęła ołowiana pokrywa utrudniająca mi oddychanie. Reszta też. Zamieszkałem w swoistej nicości.

Kiedy ulga już minęła, zacząłem się potwornie nudzić. Pomyślałem, czyby na nowo nie przekreślić wewnętrznego kontaktu, ale okazało się to niemożliwe. Zaniepokoiłem się.

Muzyka, która mnie kiedyś wzruszała, nie budziła już we mnie żadnych emocji, nawet doznania tak podstawowe jak jedzenie, picie czy kąpiel zupełnie na mnie nie działały. Byłem ze wszystkiego wykastrowany.

Utrata odczuć mi nie ciążyła. Głos matki w telefonie był już tylko zwykłym uprzykrzeniem, jak kapanie wody. Przestałem się nią przejmować. Może to i lepiej.

A reszta mnie nie obchodziła. Życie zamieniło się w śmierć.

Przełomem okazała się płyta Radiohead, zatytułowana *Amnesiac*. Tytuł pasował do mojej sytuacji, będącej rodzajem amnezji zmysłów. Kupiłem ją. Słuchałem i nic nie czułem. Tak działał na mnie obecnie każdy rodzaj muzyki. Już miałem wzruszyć ramionami na myśl o dodatkowych sześćdziesięciu minutach nicości, kiedy zaczęła się trzecia piosenka, której tytuł mówił o drzwiach obrotowych. Był to ciąg nieznanymi mi dźwięków, rozplanowanych z podejrzanie drobiazgową oszczędnością. Trafny tytuł, wyrażający nedorzeczną fascynację dziecka obrotowymi drzwiami, z których nie potrafiłoby się wydostać, gdyby w nie weszło. Z założenia nie było w tym nic wzruszającego, a jednak w oku zakręciła mi się ła.

Czy dlatego, że od długich tygodni nic nie czułem? Reakcja wydała mi się przesadna. Dalsza część płyty nie wywoływała we mnie nic ponad to lekkie oszołomienie, jakie towarzyszy każdemu pierwszemu słuchaniu. Kiedy się skończyła, znów nastawiłem trzeci kawałek i ogarnęło mnie drzenie. Moje przepelnione bezgranicznym dziękczynieniem ciało lgnęło do tej skromnej muzyki, jakby to była jakaś włoska opera, głęboko wdzięczne, że mogło nareszcie opuścić chłodnię. Nacisnąłem *repeat*, chcąc jeszcze raz sprawdzić działanie tej magii.

Jak więzień świeżo wypuszczony na wolność, zatraciłem się w rozkoszy. Byłem dzieckiem usidlonym fascynacją tymi obrotowymi drzwiami, kręcącym się w powtarzalnym cyklu obrotów. Podobno dekadenci wszystkimi zmysłami szukają wyuzdania: u mnie działał tylko jeden, ale za jego pośrednictwem upajałem się aż po najgłębsze warstwy duszy. Człowiek nigdy nie jest tak szczęśliwy jak wtedy, kiedy znajdzie sposób na zatracenie się.

Zdarzenie to uzmysłowiło mi jedno: porusza mnie teraz tylko to, co nieznanne. Emocje wywołujące radość, smutek, miłość, tęsknotę, gniew, itd. wcale na mnie nie działały. Moja wrażliwość otwierała się jedynie na doznania niecodzienne, z niczym się niekojarzące, takie, których nie można by zaliczyć do dobrych czy złych. Tak samo było z tym, co obecnie zastępowało mi uczucia: doświadczałem tylko tych, które wibrowały poza dobrem i złem.

Ucho sprowadziło mnie z powrotem do świata żywych. Postanowiłem otworzyć kolejną furtkę: oko. Sztuka współczesna zdawała się stworzona dla osobników mojego pokroju.

Widywano mnie w miejscach, w których nigdy wcześniej nie byłem: w Beaubourgu, na Międzynarodowych Targach Sztuki Współczesnej. Oglądałem propozycje kompletnie z sufitu: tego mi właśnie było trzeba.

Z dotykiem miałem pewien kłopot: w czasach, kiedy nie byłem jeszcze oziębły, zdarzało mi się działać na dwa fronty. Nie istniały więc dla mnie obszary seksualnie dziewicze i odłożyłem rozwiązanie tego problemu na później.

Ze smakiem sprawa też nie była prosta. Opowiadano mi o szalonych kucharzach wymyślających różne niesamowite potrawy o bajecznych smakach, tyle że przeciętne menu w ich restauracjach kosztowało pięćset euro, połowę mojej kurierskiej pensji. Nie było o czym marzyć.

Węch ma tę cudowną właściwość, że nie wiąże się ze stanem posiadania. Można paść z rozkoszy, poczuwszy na ulicy perfumy obcej osoby. To zmysł idealny, znacznie skuteczniejszy od ciągle zatkanego ucha, znacznie dyskretniejszy od oka, które nabiera manier właściciela, znacznie subtelniejszy od smaku, doznającego rozkoszy tylko wtedy, kiedy jest jedzenie. Gdybyśmy słuchali dyktatu nosa, zrobiliby z nas arystokratów.

Nauczyłem się reagować na zapachy z pozoru pozbawione konotacji: gorąca smoła naprawianych nawierzchni szos, ogonki pomidorów, soki świeżo ściętych drzew, czerstwy chleb, winyl i guma stały się dla mnie źródłem bezgranicznej rozkoszy.

Kiedy byłem w nastroju snobistycznym, odwiedzałem nowoczesnych perfumiarzy, tych, którzy siedzą w swoich butikach i tworzą na zamówienie różne niezwykle mikstury. Wychodziłem zachwycony ich próbkami i znienawidzony przez sprzedawców, którzy tak się starali po to, żebym ostatecznie nic nie kupił. Nie moja wina, że są tacy drodzy.

Mimo tej węchowej rozpusty, a może właśnie przez nią, mój seks zaczął się uskarżać.

Od miesięcy nic kompletnie, nawet w samotności. Daremnie wyęczałem szare komórki, wyobrażałem sobie różne niewyobrażalne historie: nic, ale to naprawdę nic na mnie nie

działało. Nie kręciły mnie najwymyślniejsze lektury spod znaku rozporoka. Na filmach pornograficznych pękałem ze śmiechu.

Zwierzyłem się z tego mojemu kumplowi Mohamedowi. Powiedział:

– Wiesz, to może głupie, ale zakochanie pomaga.

Akurat. Ze wszystkich moich zmysłów ten jeden, który wtajemniczy sposób dawał zdolność skupiania się na jednej istocie, był najbardziej martwy. Rozżalony na Momo, że tego nie rozumie, mruknąłem:

– Nie mają chleba? Dajcie im bułeczki.

– Ile to już trwa?

– Prawie pięć miesięcy.

Popatrzył na mnie i zobaczyłem, jak współczucie w jego wzroku zamienia się w pogardę. Nie powinienem był dodawać, że obywałem się również bez pomocy ręki. Przypomniało mi to epizod z powieści Zoli *Brzuch Paryża*, w której nędzarz wyznaje pięknej rzeźniczce, że od trzech dni nic nie jadł, momentalnie przeobrażając litość grubaski w nienawistne lekceważenie, bo doprawdy, trzeba być istotą niższego rzędu, żeby się doprowadzić do stanu takiego upodlenia.

Pewien ksiądz powiedział mi, że w czystości można żyć bez końca. Duchowni, którzy rzeczywiście dochowują ślubów, są najlepszym argumentem przemawiającym za tym, żeby życie seksualne, w takiej czy innej formie, jednak prowadzić: to ludzie przerażający. Byłem gotów na wszystko, byle się do nich nie upodobnić.

Ucho to słaby punkt. Do braku powieki dochodzi tu jeszcze inny defekt: słyszy się zawsze to, czego wolałoby się nie usłyszeć, ale nigdy nie słyszy się tego, co by się chciało. Wszyscy mają przytępiony słuch, nawet ci obdarzeni słuchem absolutnym. Jedną z funkcji muzyki jest stwarzanie człowiekowi złudzenia, że panuje nad tym najbardziej upośledzonym zmysłem.

Dotyk i słuch stały się dla mnie ślepcem i paralitykiem: dziwne, ale niedostatki seksualne zacząłem sobie rekompensować stałym słuchaniem muzyki. Połączyłem to z moją pracą i odtąd przemierzałem Paryż na ryczącym motorze i ze słuchawkami na uszach.

W końcu stało się to, co się stać miało: potrafiłem staruszka. Nic poważnego. Mój pracodawca był jednak innego zdania i z miejsca mnie wywalił. Uznał, że stanowię zagrożenie publiczne i ostrzegł innych w branży, żeby mnie nie zatrudniali.

Zostałem bez seksu i bez pracy; dużo amputacji jak na jednego człowieka.



Zagrozenie publiczne, powiedzial mój eks-szef. Pomyślałem sobie, a może i zawód?

Grałem w barze w bilard z pewnym bardzo uzdolnionym Rosjaninem. Mierzył z niesamowitą celnością, więc zapytałem, skąd u niego ten talent.

– Nawyk ze strzelnicy – odparł z lakonicznością zawodowca.

Zrozumiałem. Żeby wiedział, z kim ma do czynienia, przestałem pozwalać mu wygrywać. Zagwizdał z podziwem. Powiedziałem, że jestem człowiekiem, jakiego potrzebuje. Zawiózł mnie na drugi koniec Paryża i przedstawił szefowi ukrytemu za weneckim lustrem.

Z uwagi na łatwość, z jaką mnie zaangażowano, opowiadam się za wejściem Rosji do wspólnej Europy. Żadnych papierków, nic. Sprawdzian ze strzelania, kilka pytań. Nie żądali dowodu osobistego: mogłem podać dowolne nazwisko. Stańło na Urbanie, moim wymarzonym imieniu. To im wystarczyło. I jeszcze, z przyczyn zrozumiałych, numer komórki.

Zobaczyłem, że na mojej fiszce wpisali: „strzelec wyborowy”. Schlebilo mi to. Po raz pierwszy zostałem zaliczony do najlepszych, do elity; spodobał mi się obiektywizm tego kryterium. Dobre wróżki obdarowały mnie tylko jednym talentem: strzeleckim. Jako dziecko wyczuwałem w oku i ciele ową tajemniczą łatwość celowania, i to zanim jeszcze miałem z czego. Dziwne uczucie cudownego bezpieczeństwa w przedłużeniu własnego ramienia. Na kolejnych jarmarkach zdobywałem praktykę czy raczej stwierdzałem cud: nieodmiennie trafiałem w środek tarczy, zgarniając mnóstwo ogromnych pluszaków.

Zwycięstwo było w zasięgu mojej strzelby, tyle że nie miałem ani strzelby, ani czego zwyciężać. Cierpiałem z powodu swojego bezużytecznego geniuszu, jak sprawozdawca sportowy ze smykałką do ogrodnictwa czy mnich tybetański z duszą marynarza.

Spotkanie tego Rosjanina było dla mnie odkryciem własnego przeznaczenia. Popatrzył uważnie na dziesięć moich tarcz i powiedział:

– Niewielu mężczyzn tak strzela. I żadna kobieta.

Przezornie milczałem, w duchu zadając sobie pytanie, jak daleko się posunie w tym swoim machizmie. Dodał:

– Trudno o coś bardziej męskiego od celnego strzału.

Nie skomentowałem jego grubiańskich uwag. Człowiek będący moim przeznaczeniem zdawał się lubować w tego typu knajpianych aforyzmach.

– Gratulacje – powiedział jeszcze, odkładając na bok moje ulotne cele. – Muszę cię uprzedzić, że na wiele ci się to nie przyda. Nasi zabójcy mają przykazane strzelać z bliska. I

nie licz na inną broń niż rewolwer. Ale nie wiadomo, jeśli trafi ci się klient z refleksem... My angażujemy cię jak ci naukowcy, którzy krzyżują... nie wiadomo, czy nam się do czegoś przydasz, wiemy tylko, że gość taki jak ty powinien pracować dla nas, a nie dla konkurencji.

W duchu zadałem sobie pytanie, czy konkurencja to policja. Chyba raczej rywalizujące bandy płatnych morderców.

Dar taki jak mój trudno jest zrozumieć. Urodzony strzelec wyborowy ma wzrok pilota liniowego, rękę, która nigdy nie drży, i odpowiednią postawę, by zneutralizować siłę odrzutu. Ale wielu ludzi posiadających owe przymioty chybiłoby nawet słonia w korytarzu. Strzelec wyborowy potrafi znaleźć punkt przecięcia tego, co widzi jego oko, z tym, co robi jego ręka.

Niecierpliwie czekałem na pierwsze zadanie. Zacząłem po dwadzieścia razy dziennie sprawdzać pocztę głosową. Żołądek ścisnął mi strach: nie przed pracą, tylko przed tym, że nie zostanę wybrany.



Punktualnie o dwunastej zadzwonił telefon.

– Pierwszą robotę będziesz miał łatwą. Przyjeżdżaj.

Mój motor okazał się równie użyteczny w nowej pracy, jak w poprzedniej. W dwadzieścia minut przejechałem cały Paryż. Pokazano mi zdjęcia magnata spożywczego, który wszedł w paradę szefowi.

– Nie chce o niczym słyszeć. Wkrótce w ogóle nic nie będzie słyszał.

– Dziwne – powiedziałem, oglądając zdjęcia – jest chudy.

– Nie je tego, co sprzedaje. Nie jest taki głupi.

W nocy zgarnąłem go pod kamienicą, w której miał się spotkać z kochanką. Przedziurawiłem mu głowę dwoma strzałami kalibru łyżeczki. I wtedy zdarzył się cud.

Nie miałem czasu tego analizować. Musiałem natychmiast wiać. Motor wywiózł mnie daleko, jego pęd potęgował świeżo przeżyte doznania.

Pognałem po cztery stopnie na górę, rzuciłem się na łóżko i dokończyłem dzieła. Było to przyjemne, ale nie umywało się do emocji towarzyszących likwidacji klienta. Co się właściwie wydarzyło? Pamiętałem, że serce waliło mi jak szalone, krew napływała w różne newralgiczne miejsca. Nad wszystkim brało górę rozkoszne poczucie nieznanego: nareszcie zrobiłem coś nowego.

Jeśli szczytowałem tak zawrotnie, to dlatego, że w końcu zafundowałem sobie coś, za czym od miesięcy tęskniłem: rzecz nową, nienazwaną, niewyobrażalną.

Nie ma nic bardziej dziewiczego od zabijania. Jest to doznanie nieporównywalne z żadnym innym. Człowieka przenika dojmująca rozkosz w miejscach, które nawet trudno zlokalizować. Taki egzotyzm go wyzwala.

To najradzykalniejszy sposób zaspokojenia żądzy władzy. Nad istotą, o której nie wie się nic, przejmuje się władzę absolutną. I jak w przypadku każdego szanującego się tyrana, nie czuje się ani krzty wyrzutów sumienia.

Aktowi temu towarzyszy rozkoszny strach. To on jest katalizatorem rozkoszy.

I, *last but not least*, jeśli człowiek wywiąże się ze zlecenia, zarabia mnóstwo pieniędzy. W świadomości, że za coś takiego mu płacą, kryje się zdumiewająca satysfakcja.

Gość z bilardu miał na imię Jurij.

– Dobrze się spisałeś – powiedział, wręczając mi kopertę. – Przelicz.

– Ufam ci – odrzekłem jak panisko.

– Niesłusznie.

Zgadzało się. Chciał mnie tylko zbić z tropu.

– Kiedy następny raz?

– Spodobało ci się?

– Owszem.

– Oby nie za bardzo. Zachowaj umiar. W przeciwnym razie stracisz na jakości. Dziś wieczorem?

Pokazał mi zdjęcia pewnego wścibskiego i gadatliwego dziennikarza.

– Podpadł szefowi?

– A jak sądzisz? Dlaczego niby ich wybieramy?

– Żeby uwolnić ludzkość od takiego robactwa.

– Możesz tak myśleć, skoro ci to pomaga.

Nie potrzebowałem żadnej pomocy. Ale takie myślenie potęgowało mi przyjemność. Czekać na zapadnięcie nocy, niepokoiłem się. Dziewiczość może być tylko zmysłowa. Tymczasem poznałem już emocje zabijania. Czy doświadczę jeszcze podobnego orgazmu? Chciałem w to wierzyć. Dwie sekundy to za mało, by odebrać takiemu zdarzeniu jego nowość.

Mówi się, że w seksie pierwszy raz nie jest najlepszy. Moje doświadczenie potwierdzało tę opinię. Co do morderstwa, to za pierwszym strzałem doznałem takiego upojenia, że wydawało mi się niemożliwe marzyć o czymś lepszym.

Regułą były dwa strzały w głowę. W czaszkę, żeby zniszczyć centralę. W ogromnej większości przypadków uśmiercała już pierwsza kula. Druga była na wszelki wypadek. Toteż nikt nie przeżywał.

– Zwiększasz też prawdopodobieństwo zmasakrowania twarzy. A to opóźnia pracę policji.

Ja sam błogosławiłem ową zasadę drugiego strzału, który dodatkowo potęgował rozkosz. Zauważyłem, że drugie naciśnięcie spustu było lepsze; pierwsze kojarzyło się jeszcze z wysiłkiem palca.

Rzecz zapowiadająca się na małą skalę powtórzyła się na wielką; z dziennikarzem zznałem większej rozkoszy niż z gościem od żywności. A z następnym, ministrem, jeszcze większej.

– Nie bez znaczenia jest rozgłos medialny – skomentował to Jurij. – Ekscytacja jest większa, kiedy wiesz, że będą o tym pisały gazety.

Purysta we mnie oburzył się:

- Na mnie sława nie robi wrażenia! Ważny jest człowiek.
- Powiedzmy.
- Sprawdź mnie, jeśli nie wierzysz.
- Tak jakbym to ja wybierał klientów.
- Ale często to ty wybierasz zabójcę.

To był frustrujący aspekt tego zajęcia: z wyjątkiem Jurija, który pełnił funkcję pośrednika, nie wolno mi było widywać kolegów. Przy takim regulaminie trudno mówić o solidarności zawodowej. Zacząłem częściej spotykać się z Rosjaninem.

- Czasami odnoszę wrażenie, że nie masz z kim pogadać – poskarżył się.
- Wiesz, klienci nie są zbyt rozmowni.
- Nie masz żadnych przyjaciół?

Nie, zawsze miałem tylko znajomych z pracy. Skończyła się praca, skończyli się znajomi. Wolny czas był na rozrywki. Z powodu oziębłości i one się skończyły. Jurij chyba to wyczuł. Zapytał:

- A gdyby klient był klientką, pasowałoby ci?
- Przyjmuję komunię pod obiema postaciami.
- Co ty gadasz? Jesteś ortodoksem?
- Właśnie nie jestem. Tak, akceptuję klientki.
- To dobrze. Wielu w naszym zespole odmawia.
- Szokująca mizoginia!

– Bez obaw, klientki rzadko bywają laskami. Jeśli szef chce zlikwidować którąś z niewiernych kochanek, woli to zrobić osobiście.

- To człowiek honoru?
- Myślę, że lubi mordować piękne dziewczyny. Nam zostawia same pasztety.

Moją pierwszą klientką była dyrektorka jakiegoś ośrodka kultury. Pozwoliłem sobie uznać to za dość dziwne.

- To centrum jest tak samo kulturalne jak ty i ja – powiedział Jurij. – To przykrywka.

Nigdy nie dowiedziałem się, co się pod nią kryło. Dyrektorka była grubym wąsatym babskiem, kołyszającym się na nogach zbyt chudych jak na jej wagę. Wykonałem robotę bez problemu.

– Mężczyzna, kobieta, co to zmienia? Nie dostrzegłem żadnej różnicy – powiedziałem Jurijowi.

- Poczekaj, aż trafi ci się jakaś piękność.

– Zabicie pięknego czy pięknej byłoby dla mnie jednakowo przykre. Jedyna płeć to uroda.

– A co to za nowe bzdury?

– To uwaga filozoficzna. Seks oznacza „to, co dzieli”. Osoby piękne tworzą odrębną grupę, pozostają poza ogółem ludzkości, która jest rojącą się, bezkształtną masą.

– Przelicz – powiedział Jurij, wręczając mi kopertę.

Radiohead świetnie pasowało do mojego nowego życia. Tę muzykę i moją pracę łączył absolutny brak jakiegokolwiek nostalgii. Ekspediowałem moich klientów na wieczny odpoczynek bez cienia elegijnej zadumy nad ich przeszłością; nie obchodziło mnie to, że kiedyś byli młodzi. Bohater *Mechanicznej pomarańczy* stawał się brutalny pod wpływem Beethovena; Radiohead, nie budząc najmniejszej agresji, czyniło ze mnie istotę niesamowicie obecną, nieczulą na trujący sentymentalizm wspomnień.

W tej postawie nie było żadnego chłodu: nigdy nie odczuwałem tak silnych emocji, jak w chwili zabijania. Ale w żadnej z nich nie było melancholii, jakkolwiek nie popadałem również w euforię. Każdy morduje pod muzykę, której słucha: w *Mechanicznej pomarańczy* zabójstwo osiąga ekstazę *IX Symfonii*, ową radość nieomal przytłaczającą; ja mordowałem z hipnotyczną skutecznością Radiohead.

Jurij zarabiał więcej ode mnie. A przecież likwidował mniej klientów.

– Nic dziwnego, ponoszę większą odpowiedzialność niż ty. Znam twarz szefa i dane wszystkich zabójców.

– Z czego moral taki, że jeśli cię złapią, wszyscy jesteśmy ugotowani.

– Nie, noszę w zębie trzonowym kapsułkę z cyjankiem.

– Jaką mamy gwarancję, że ją wykorzystasz?

– Jeśli tego nie zrobię, szef własnoręcznie mnie zlikwiduje. Nie kręć mnie jego metody.

– Skoro taki z niego strzelec, czemu zleca to innym?

– Bo jest artystą. Dwie kule w głowę są poniżej jego godności. Zawsze musi zwracać na siebie uwagę, cyzelować, kombinować. Koniec końców, taki brak dyskrecji byłby niebezpieczny.

Fascynowało mnie uczucie przynależności do tajnego bractwa.

– Nie boisz się, że przez pomyłkę rozgryziesz tę kapsułkę?

– Cukierków jeść mi nie wolno – odrzekł z powściągliwością, która mnie oczarowała.

Myślę, że zasługiwał na swoje wynagrodzenie.



Ten zawód mi odpowiadał, zachwycały mnie jego wymogi. Na przykład przed każdą misją strzelec musi umyć ręce; nie dlatego, żeby były czyste, ale niespocone. Nie ma nic gorszego niż tłuste palce ślizgające się po rewolwerze i uniemożliwiające precyzyjne wycelowanie. Należy więc unikać mydeł z olejkiem migdałowym, które jakoby wygładzają skórę, tymczasem pokrywają ją oleistą warstwą, a ta niebezpiecznie natłuszcza spust. Nie ma nic lepszego od starego kawałka cytrynowego mydła Sunlight, którym można usunąć również plamy smaru ze spodni.

Jurij zatrudnił mnie w lutym, kiedy panował polarny ziąb. Mimo że byłem wielbicielem gorących pryszniców, nabrałem zwyczaju mycia rąk w lodowatej wodzie. Był to ostatni gest przed wyruszeniem na misję: długie szorowanie i energiczne masowanie dłoni i palców sunlightem, a potem spłukiwanie ich pod strumieniem wody tak zimnej, że tylko czekałem, jak z kranu polecą kostki lodu. Nie wiem, czemu takie wyziębianie rąk sprawiało mi aż tyle przyjemności. Potem je wycierałem nieogrzanym ręcznikiem, żeby zachować to uczucie lodowatości, którego w żadnej innej części ciała bym nie zniósł, a którym moje dłonie rozkoszowały się, tak jakby następował tu jakiś akt oczyszczenia. Palce wcale mi nie drętwiały od tego przejmującego zimna, odwrotnie, nabierały żywotności, mocy i pewności.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że jest we mnie jeszcze inna część dopominająca się lodowatej wody, której reszta ciała by nie zniosła. Mam na myśli twarz, z wyłączeniem czaszki. Tak jak moje członki wymagają komfortu ciepła, tak twarzy i rąkom potrzebny jest dreszcz lodu. Co wspólnego mają z sobą twarz i ręce? Język, którym pierwsza mówi, a drugie piszą. Ja przemawiam językiem zimnym, jak śmierć.

Na biurku Jurija stały zdjęcia pięknych kobiet.

– Rosjanki? – Pokazałem ruchem podbródka.

– Francuzki – odpowiedział półgębkiem.

– Dlaczego ja nie spotykam nigdy takich dziewczyn na ulicy?

– Spotykasz. Tutejsi mężczyźni są ślepi. My w Moskwie wiemy, co to bieda.

– Bzdury. Podobno rosyjskie dziewczyny to niesamowite laski.

– Rzecz w tym, że Rosjanie mają oko, odwrotnie niż Francuzi, którzy na oczach mają bielmo. Wierz mi, Francuzki są najlepsze.

Przypomniałem sobie zamierzchłe czasy, kiedy takie słowa coś dla mnie znaczyły.

– Nie przejmuj się – powiedział Jurij, zmylony moją miną. – W końcu i ty je zobaczysz.

Niestety, nie byłem tego wcale taki pewny.

Na szczęście zostawały mi jeszcze emocje zabijania. Te nigdy mnie nie zawodziły.

Spowszednienie, którego tak się obawiałem, nie przytłumiło towarzyszącego mu upojenia, odwrotnie, za każdym razem tylko je pogłębiało.

Potrzeba ulżenia sobie w łóżku stawała się tym bardziej nagląca. W moim zachowaniu nie było jednak cienia erotyki; na tyle się znałem, by wiedzieć, że podobne emocje są w stanie wzbudzić we mnie tylko istoty piękne. Tymczasem ludzie, których zabijałem, nie byli nigdy piękni ani nawet dość odrażający, by zdołali we mnie wzniecić paradoksalne pożądanie.

Tajemnica kryła się w samym akcie zabijania, który upodabniał mnie do najbardziej niesprawiedliwych bóstw lub przeciwnie, do bóstwa najbardziej wytrawnego, jedyne zdolnego odróżnić dobro od zła. W momencie oddawania strzału najwznioślejsza część mojego umysłu nie wątpiła, iż wypełniam nie tylko przeznaczenie moich ofiar, lecz również najbardziej wysublimowaną wolę niebios.

Nie sądzę, bym przed utratą wrażliwości zmysłów był w stanie w taki sposób mordować. Wpierw musiałbym zwalczyć w sobie mnóstwo oporów. To ciało czyni człowieka życzliwym i pełnym współczucia dla bliźniego. Pamiętam, że kiedyś nie potrafiłem nawet kopnąć psa, który gryzł mnie w nogę.

Obecnie wewnętrzny sprzeciw, który musiałem przewyciężyć, likwidując tych nieznajomych, był tak nikły, że z trudnością można by go uznać za fizyczny. W ostatnim bastionie mojego ciała, umiejscowionym nie wiadomo gdzie i będącym być może po prostu zwykłym wspomnieniem, zachowała się bezcielesna pamięć tego, czym jest materia, której obecnie jedyną funkcją było służenie mojej rozkoszy. Trudno przeżyć orgazm bez minimum organów.

Ale to minimum w zupełności wystarczyło. Siedlisko mojej rozkoszy ograniczało się obecnie do maleńkich stref erogennych; mogłem więc łatwiej ogarnąć je duszą. W zabijaniu krył się niesamowity ładunek duchowy: jeśli uznać, że orgazm to ciało przesycone myślą, otrzyma się klucz do mojej ówczesnej codzienności.

Motocykl był mi niezbędny, bo pozwalał ratować skórę oraz przenosić moje podniecenie do sypialni.

Jeśli czasami po drodze namiętność nieco opadała, ożywiałem ją obrazami innych morderstw, fantazując na temat nieznanymi mi dotąd sposobów uśmiercania; sztylet wbity w serce, poderżnięte gardło, głowa ścięta mieczem. Żeby fantazja zadziałała, potrzebne było mnóstwo krwi.

To dziwne, bo w końcu w duszeniu, truciu czy podrzynaniu gardła jest także mnóstwo

okrucieństwa. Ale mój seks ożywał tylko na myśl o hemoglobinie. Erotyka to rzecz naprawdę bardzo osobliwa.

Pewnego dnia spotkałem na ulicy dziewczynę, którą dawno temu kochałem. Nie pierwszy raz wpadłem na którąś z moich eks. Nigdy nie lubiłem takich konfrontacji z najgorszymi grzechami własnej przeszłości. Nie mówiąc już o niezręcznym zachowaniu w podobnych sytuacjach.

Tym razem jednak uderzył mnie brak jakiegokolwiek skrępowania. Nie poczułem zupełnie nic, nie pomyślałem, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Przywitałem się.

– Widzę, że u ciebie wszystko w porządku – powiedziała.

– W porządku, a u ciebie?

Skrzywiła się. Domyśliłem się, że ma ochotę na zwierzenia. Natychmiast się pożegnałem.

– Nie masz serca – usłyszałem za plecami.

To prawda, już nie miałem. Z mojej piersi, która już nigdy nie była rozdarta ani przepełniona, zniknęły te obszary cierpienia i spełnienia. Zastąpiła je mechaniczna pompa, którą z łatwością można było ignorować.

Nie tęskniłem za tą strefą, bo jej kruchość naznaczyła mnie o wiele bardziej niż legendarna siła. Nigdy nie miałem w sobie serca Rodryga.

Zapytałem Jurija, czy lubi zabijać.

– Zabijanie wyzwala – powiedział.

– Z czego wyzwala?

– Ze stresu, z niepokoju.

– Czy zabijanie to nie niepokój?

– Nie, to strach.

– A strach wyzwala od niepokoju?

– Mnie tak, a ciebie nie?

– Nie.

– To po co wykonujesz ten zawód?

– Bo kocham ten strach dla niego samego. Nie muszę się wyzwalać.

– Jesteś prawdziwym zbrodźcą.

Usłyszałem w jego głosie uznanie i nie chciałem psuć tego dobrego wrażenia.

Bardzo szybko zacząłem sobie pozwalać na więcej. Jak na mój gust miałem za mało zleceń. Dzień bez klienta stał się dla mnie równie przykry, jak niegdyś dzień bez rozrywki.



Nie mogłem tkwić przy telefonie jak jakiś maniak erotycznych ogłoszeń. Zastanowiłem się przez chwilę i uznałem, że mam prawo do pewnej inicjatywy.

Jeśli płatny zabójca jest jedynym, któremu tak często udaje się popełnić zbrodnię doskonałą, to dlatego, że wyznacza mu się ofiary, o których absolutnie nic nie wie. Policja nie potrafi doszukać się żadnego związku. Nic więc nie stało na przeszkodzie, żebym sam się zabawił w zleceniodawcę, pod warunkiem przestrzegania podstawowej zasady: typować klientów, o których nic nie wiem.

Początkowo korzystałem w tym celu z książki telefonicznej: otwierałem ją na pierwszej lepszej stronie i z zamkniętymi oczami celowałem palcem w nazwisko. Ale to było kuglarstwo: osoba znana z nazwiska nie jest osobą całkiem obcą. W momencie likwidowania takiego osobnika jego nazwisko uwierało mnie jak kamyk w bucie.

Idealnym nieznanym jest ktoś z ulicy, człowiek, którego się mijają, nawet nań nie spojrzawszy. Jeśli decydujemy się zabić akurat jego, to wyłącznie z tej przyczyny, że zaistniał odpowiedni moment: nie ma osób trzecich. Okazja czyni złodzieja. Kiedy facetowi się pakuje dwie kulki w głowę, nie wiadomo, kto jest bardziej zdziwiony: on czy zabójca.

Nawiązując do fast foodu, nazywałem to fast killem. Czułem się tak samo niezbyt dumny, jak ci, którzy stołują się w McDonalddie; największą rozkoszą jest rozkosz sekretna.

Stało się to silniejsze ode mnie. Któregoś wieczoru zadałem sobie pytanie: „Czyżbym został seryjnym mordercą?”. Zaniepokoiło mnie ono nie tyle z racji jego wymiaru patologicznego, ile banalności. Seryjny morderca wydawał mi się pustą i pretensjonalną formułą jak z najgorszego rodzaju filmów, najnikczemniejszą siłą sprawczą współczesnych scenarzystów. Widzowie za nim przepadali, co tylko świadczyło o trywialności problemu.

Trochę uspokoiła mnie świadomość, że nie posiadam żadnej z typowych cech serial killera. Nie przygotowywałem swoich zbrodni długo i z obsesyjną drobiazgowością, zabijałem jak popadnie, kierując się wymogami higieny; potrzebowałem codziennej dawki mordowania tak jak inni tabliczki gorzkiej czekolady. Przedawkowanie wzbudzało we mnie takie samo obrzydzenie jak u maniaka czekolady. Mogło do tego dojść, jeśli po długim bolesnym milczeniu telefon dzwonił o dwudziestej drugiej trzydzieści. Zdążyłem już pęknąć, zafundować sobie kogoś, a tu zlecają mi nocną misję. Nie można było zwlekać, wykonywałem rozkazy szybko i bez apetytu. Nie ma na świecie drugiego tak absolutnie dyspozycyjnego zawodu jak zawód płatnego mordercy. Wystarczyło najmniejsze odstępstwo i człowiek miał przechlapane; spadał do kategorii starych aktorek, daremnie wyczekujących na telefon.

Z tej też przyczyny nigdy nie przesadzałem z moimi zabawowymi inicjatywami; bałem

się, że mógłbym stracić pracę. To zaś oznaczałoby rezygnację z zajęcia uwielbianego i przedstawiającego w porównaniu z fast killem niesamowite korzyści: wdzięczną świadomość bycia wybranym, odpowiadania właściwym kryteriom, rozrywkowy aspekt identyfikacji klienta na podstawie nie zawsze najświeższej fotografii, ekstazę towarzyszącą likwidacji autentycznej niekiedy kanałii, wysiłek wyobraźni w przypadku jakiegoś wyjątkowo niezrozumiałego zlecenia typu: „Dlaczego każą mi zglądzić karmelitkę?” i, *last but not least*, niezrównany komfort stałych dochodów.

Czyżby Jurij zwęszył moje skłonności? Być może uprzedzając nieco wydarzenia, wspomniał o koledze z branży, którego przyłapano na „sprzątaniu na własną rękę”.

– Zwolniłeś go? – zapytałem.

– Żartujesz! Od razu został klientem kumpla.

Uznałem, że to przesada. Na wypadek gdyby mnie przyłapano, przygotowałem sobie obronę:

„Nie kombinowałbym tak, gdybym miał program z prawdziwego zdarzenia. Dlaczego dostaję zlecenia z dwudziestoczworgodzinny zaledwie wyprzedzeniem? Nie powiecie chyba, że szef nie namierzył klienta już dzień wcześniej. Wiem, odpowiecie mi, że najważniejsza jest ostrożność, że jeśli policja mnie złapie, lepiej, żebym o niczym nie wiedział. Ale czy nie byłoby bezpieczniej nie utrzymywać zabójców w stanie takiej niepewności? Czy macie pojęcie, jak niespokojny jest facet, który budzi się rano bez żadnej pewności, że tego dnia zabije? Nie wspominając już o aspekcie finansowym: jak ma gospodarować pieniędzmi, nie wiedząc, ile w danym tygodniu zarobi? Nie proszę o gwiazdkę z nieba, domagam się tylko prawa do siedem – dziesięciogodzinnego wyprzedzenia. W razie potrzeby będę się targował jak handlarz dywanów”.

Adresatem tych myślowych tyrad byłem wyłącznie ja; podobno tak wygląda początek paranoi.

A jednak moje uwagi były słuszne. Życie na tak krótki termin było równoznaczne z życiem w niebycie; trzeba by nadczłowieka, żeby to wytrzymać. Udawałem, że nim jestem, ale nie potrafiłem się tak oszukiwać. Bez muzyki Radiohead bym tego nie wytrzymał; czekając, aż zawibruje moja komórka, całymi godzinami leżałem i, na okrągło słuchając *When I End and You Begin*, nie przestawałem sobie powtarzać, że niebo się zawala – i faktycznie się zawalało, jego pustka przygniatała mnie, druzgotała, sprowadzała do stanu nicości.

– Co robisz między jednym a drugim zleceniem? – zapytałem Jurija.

– Rozwiązuję krzyżówki. A ty?

– Słucham Radiohead.

– Świetna kapela.

Zaczął nucić ich przeboje z lat dziewięćdziesiątych.

– Nie – przerwałem mu. – Moim narkotykiem są ich trzy ostatnie albumy.

– To muzyka eksperymentalna – skrzywił się.

– Właśnie, jestem mordercą eksperymentalnym.

– Czy to aby nie snobizm?

Doznałem cudownego uczucia wyższości: Jurij należał do starej gwardii. Ja byłem zabójcą trzeciego tysiąclecia.

Pewnej nocy moim klientem był przemysłowiec, który zarówno zimą, jak i latem nosił kapelusz. Niepokoiła mnie ta myśl. Bo jeśli jego nakrycie głowy zneutralizuje eksplozję czaszki, jak mam być pewny powodzenia misji?

Trzeba było doprowadzić do tego, żeby odkrył głowę. Jego mózg był już nie pierwszej młodości, musiał mieć swoje przyzwyczajenia. Postanowiłem przebrać się za damę z towarzystwa. Można by się uśmieć – przy mojej posturze dokera. Na szczęście tym razem miałem kilka dni, żeby się przygotować.

Najtrudniejsze było znalezienie pantofli na wysokich obcasach w moim rozmiarze, potem nauka chodzenia na nich. Musiałem wyglądać na damę zasługującą na względy; to pewne, że się na nie nie zasługuje, krocząc na takich bajerach. Obcisły kostium przydał mi odpowiedniej sylwetki. Peruka i ciemności dopełniły reszty.

Klient uchylił kapelusza na ułamek sekundy i tylko odrobinę. Mój ruch był szybki jak błyskawica.

Jego ostatnie słowa brzmiały: „Dobry wieczór pani”.

Są utwory będące taką obsesją, że nie pozwalają spać, a nawet żyć. Mózg na okrągło je odtwarza, wykluczając wszelką inną formę myślenia. Początkowo takie zawładnięcie przez jedną melodię jest czystą rozkoszą. Człowieka podnieca, że jest tylko i wyłącznie zapisem muzycznym, że dzięki temu unika przeżuwania różnych nieprzyjemnych myśli. Zwiększa to jego siły fizyczne i zapał do pracy.

Jednak po jakimś czasie umysł zaczyna cierpieć. Każda nuta gamy ma swoje siedlisko w szarych komórkach, a że ciągle pobudzane są te same, w głowie następuje rodzaj skurczu. Linia melodyczna staje się drogą krzyżową dla receptorów. Jest to o tyle dziwne, że obywa się bez decybeli; chodzi wyłącznie o samą ideę dźwięku, która wystarcza, by człowieka ogłuszyć i doprowadzić niemal do obłądzenia.

Niełatwo mu się wyzwolić od czegoś, co przywykł traktować jako wyzwolenie. Metoda „klin klinem” okazuje się nieskuteczna: nie sposób zamienić toksycznej partytury, bo w końcu zawsze wyłania się ona spod warstw fonicznych, którymi ją przykryto.

Przypomina to miłosne delirium. W przeszłości odkryłem sposób na uwolnienie się od dziewczyny, która mnie opętała; wystarczyło dogłębnie ją przestudiować. Wymagało to nieustannej obserwacji, ale znacząco przyspieszało proces, gdyż pozwalało uświadomić sobie, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć panienki kreowały swój wizerunek i grały jakąś rolę. Taka konstatacja upraszcza obiekt studiów aż po natychmiastowe wyleczenie się z

niego. Jedynymi dziewczynami wzbudzającymi trwałą miłość są te, które zachowują świadomość niewiarygodnej złożoności świata. A takie zdarzają się raz na milion.

Uwolnienie się od muzyki jest znacznie trudniejsze. I w tym wypadku wybawienie prowadzi przez mnemotechnikę. Ale jak wyuczyć się na pamięć basowych solówek Radiohead, będących zaledwie jedną z warstw tajemnicy?

Ze słuchawkami na uszach zamykałem się w rodzaju zmysłowej izolatki, w której na okrągło leciały albumy *Amnesiac*, *Kid A* i *Hail to the Thief*. Działo to jak strzykawka nieprzerwanie wsączająca w żyły najrozkoszniejszy narkotyk. Kiedy zdejmowałem słuchawki i szedłem zabijać, szafa grająca w moim mózgu nadal puszczała te same kawałki.

To nie była ścieżka dźwiękowa, to było działanie samo w sobie. Mordowałem w idealnej harmonii z muzyką.

- Co cię napadło, żeby się przebierać za kobietę? – zapytał Jurij.
- Nic, nie mam w sobie ciągot transwestyty. Czy w naszej ekipie są zabójczynie?
- Nie wolno mi mówić o innych.
- Powiedz tylko, czy są dziewczyny.
- Pogoda jest ładna, ale powietrze jeszcze chłodne.
- No dobrze. A twoim zdaniem, czy kobieta może zabić?
- No pewnie. Z choinki się urwałeś?
- To znaczy, czy może zabijać tak jak my?
- Czemu nie?

Zacząłem wygłaszać różne komunały, jakie nieuchronnie wypływają we wszelkich rozmowach dotyczących różnic płci. „Mężczyźni i kobiety to nie to samo, wzajem się uzupełniają, i już mówię dlaczego”. To niesamowite, jak ludzi zachwyca słuchanie tego typu gadek. Nic tak nie zbliża jak barowy komunał. Mnie chodziło wyłącznie o sprowokowanie Rosjanina. Niestety, musiał być wyszkolony; nie uzyskałem nic ponad:

- Skoro tak to widzisz...

Niektórzy mają tego pecha, że znajdują miłość swojego życia, pisarza swojego życia, filozofa swojego życia itd. Z góry wiadomo, jakimi wkrótce staną się oszołomami.

Mnie spotkało coś jeszcze gorszego: znalazłem muzykę swojego życia. Wprawdzie jego albumy były wyrafinowane, Radiohead ogłupiało mnie znacznie bardziej niż wspomniane wyżej patologie. Nie znoszę wszelkich podkładów muzycznych, po pierwsze dlatego, że są szczytem pospolitości, a poza tym ponieważ nawet najpiękniejsze melodie mogą do tego stopnia zawiądnąć umysłem, że zamieniają się w nudne piły. Nie ma czegoś takiego jak

podkład miłosny, podkład literacki, podkład myślowy; istnieje tylko ta zaraza, ta trucizna – podkład dźwiękowy. Tylko huk wystrzałów pozwalał mi przetrwać moje akustyczne więzienie.

Chciałbym, żeby istniały morderczynie takie jak my. Sprzykrzyło mi się już to, że w moich fantazjach *post homicidem* nie było nigdy żadnych kobiet w roli wykonawców. Nic nie stało na przeszkodzie, by to sobie wyobrazić, ale brakowało mi odniesień. Nie żebym wołał mężczyzn czy kobiety, potrzebowałem tylko odmiany, również we własnej głowie.

Teraz, spotykając na ulicy atrakcyjne dziewczyny, na ich widok zadawałem sobie tylko jedno pytanie: „Czy umiałyby zabijać tak jak ja?”. Musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, bo sprawiały wrażenie skrępowanych.

W deszczowe dni zapach powietrza nastrojał mnie romantycznie: oczami wyobraźni widziałem piękne zabójczynie w trenczach z podniesionym kołnierzem, uciekające z jeszcze dymiącym (co, niestety, nigdy się nie zdarza) rewolwerem, wskakujące na mój motor i błagające wzrokiem: „Niech mnie pan wywiezie jak najdalej stąd” – i dziewczyna obejmowała ramionami swego wybawcę. Tak, bo tymczasem one zamieniły się w nią, zawsze tak jest, kiedy się wymyśla jakąś historię dla rajcu, na początku postać jest wieloraka, o wielu twarzach, mglistych, ukrytych, idzie się na dziewczyny, a potem w miarę zarzucania kotwicy liczba mnoga zamienia się w pojedynczą, zaczyna się dostrzegać oczy, konkretne krągłości, wyraz twarzy, czasami tembr głosu. Ewa urodziła się z żebra Adama, chłopcy z moich marzeń mieli twarze osób kiedyś już spotkanych, w moim zawodzie spotykam wielu mężczyzn, i prawie nigdy nie spotykam kobiet, i pewnie dlatego dziewczyna siłą rzeczy musi być zrodzona ze mnie; chłopaków znam, dziewczyny sobie wymyślam i pod koniec mojego fantazmu, kiedy dzięki niej szczytuję, jest jedną jedyną i nie ma na świecie drugiej tak realnej.

Praca najczęściej nie brudzi: krew i mózg wytryskują zgodnie z kierunkiem kuli, więc odwrotnym do mnie. Ale może się zdarzyć rykoszet, czaszka eksploduje w nietypowy sposób i wtedy człowieka obryzguje paskudna breja. Wraca się motorem na czwartym biegu, wpatrując się w plamkę hemoglobinowej mazi na swoim rękawie i wtedy jakoś trudno uwierzyć, żeby muzyka Mozarta mogła być pochodną takiego obrzydliwstwa.

Z początku zaczynałem od prysznic. To był błąd: najpierw należy wyprać ubranie. Nawet kiedy to była tylko krew, trudno ją było usunąć; doświadczenie nauczyło mnie, że gorąca woda takie plamy utrwała i wtedy są nie do wywabienia. Zapamiętać to. Moją techniką mnemotechniczną jest mordowanie z zimną krwią. Krew usuwa się w lodowatej

wodzie.

Pamiętam, że na początku marca wróciła zima. Ludzie spodziewali się wiosny, a dostali śnieżne zawieje. Wysłano mnie, żebym zlikwidował pewnego notariusza z Vincennes, którego głowa obryzgała przedpokój: rany w skroń zwykle krwawią obficie, niż przewidziano. Polecono mi usunąć zwłoki, a potem wyszorować wejście. Pomogła mi pogoda: przyniosłem z ogrodu kilka szufli śniegu i rozrzuciłem go na najbardziej zaplamionych płytach posadzki. Było to skuteczniejsze i bardziej poetyckie od szmaty. Niestety, nie zawsze ma się pod ręką śnieg.

Gorzej jest z mózgiem. Trudno opisać, jakie ślady pozostawiają tłuste plamy. Mózg to sam tłuszcz, a tłuszcz nigdy nie jest czysty. Poza tym, jeśli po pierwszym strzale nie ma plamy, można być pewnym, że już nie będzie.

To wszystko potwierdza moją metafizykę: ciało nie jest niczym złym, to dusza jest zła. Ciało to krew: jest czyste. Dusza to mózg: jest tłusta. To tłusta materia mózgu wynalazła zło.

Mój zawód polegał na czynieniu zła. I jeśli z taką dezynwolturą je wyrządzałem, to dlatego, że nie miałem już ciała, które krępowałoby mi umysł.

Z ciała została mi już tylko maleńka proteza nowych doznań odkrytych dzięki mordowaniu. Cierpienie jeszcze się nie pojawiło: moim odczuciom obce było pojęcie moralności.

Zabójca to osobnik angażujący się w spotkania z innymi głębiej niż ogół śmiertelników.

Dzisiejsze stosunki międzyludzkie zasmucają swoim ubóstwem. Przykro się robi, kiedy się widzi to, co obecnie określane jest pięknym mianem „spotkania”. Spotkanie drugiego człowieka powinno być wydarzeniem. Powinno być takim wstrząsem, jakiego doznaje pustelnik, który po czterdziestu dniach samotności dostrzega na horyzoncie drugiego eremity.

Pospolitość wielkich liczb zrobiła swoje: spotkanie stało się niczym. Mamy na to porażające przykłady: Proust spotyka w taksówce Joyce'a i w trakcie tego niezwykłego spotkania rozmawia z nim wyłącznie o cenie za kurs; stało się tak, jakby nikt już nie wierzył w spotkania, w podniosłą możliwość poznania drugiej osoby.

Zabójca posuwa się dalej niż inni: podejmuje ryzyko zlikwidowania osoby, którą spotkał. To stwarza więź. Gdyby Proust w tej taksówce zamordował Joyce'a, człowiek byłby mniej zawiedziony, pomyślałby sobie, że tych dwóch się odnalazło.

Oczywiście to za mało, zwłaszcza w przypadku płatnego zabójcy, który nie ma prawa wiedzieć, kogo eliminuje. Ale to zawsze coś. Skądinąd w powyższym zakazie kryje się sprzeczność: zabijając kogoś, poznajemy go.

To rodzaj biblijnego poznania: zabijany oddaje się zabójcy. Odkrywa przed nim swoją najskrytszą intymność: własną śmierć.



– Nie rozumiem, czemu jesteś taki zakłopotany – powiedziałem do Jurija. – No pewnie, że jestem gotowy sprzątnąć tego ministra. Nie pierwszego w mojej karierze. A poza tym zwisa mi zawód moich klientów. Od kiedy robi na mnie wrażenie jakiś minister? A na tobie robi?

– Nie. Ale trzeba zlikwidować również jego rodzinę.

– Tym lepiej. Nienawidzę rodzin. Na hasło „rodzina” przychodzą mi na myśl rodzinne obiadki; ciotka filmuje twoje trzynaste urodziny, a ty najchętniej byś się zapadł pod ziemię. Gdyby mi w tamtych czasach dano pistolet, na pewno nie celowałbym z niego w pieczeń jagnięcą z zielonym groszkiem.

– Rodzina znaczy dzieci.

– Faj, dzieci. Nienawidzę dzieci. Są złe, głupie, egoistyczne i krzykliwe. Co dopiero dzieci ministra. To musi być zaraza. Z wielką radością uwolnię kulę ziemską od tego pomiotu.

– Zona ministra jest niebrzydka – zaznaczył, wręczając mi zdjęcie.

– Owszem, ale nie w moim typie. A zresztą zabicie szczupłej będzie jakąś odmianą.

– Urban, jesteś najgorszy z nas wszystkich – powiedział Jurij z nutką podziwu. – Czy pięć głów do załatwienia oznacza pięciokrotną wypłatę?

– Tak. Ale przypominam ci, że tym razem jest pewien niuans: nie dostaniesz nic, jeśli nie dostarczysz teczki ministra. To jest prawdziwy cel tej operacji. Masz, oto zdjęcia gościa i trójki bachorów.

– Po cholere mi zdjęcia dzieciaków?

– Żeby mieć pewność, że ich nie pomyliłeś. Wyobraź sobie, że któreś z dzieci zaprosiło na weekend kolegę.

– Jeśli tak, to mam go oszczędzić?

– Oczywiście, że nie.

– No to po co mi zdjęcia?

– Żebyś wiedział, czy któregoś nie brakuje. Nawet jak zgadza się ilość, nie ma wystarczającej pewności.

– Lepiej, żebym je jak najszybciej rozpoznał. Trudno odróżnić jedną twarz od drugiej, kiedy się rozwalilo głowy.

– Jeśli strzelisz w jedną skroń, a potem w drugą, nieco do góry, zabijasz faceta, ale nie masakrujesz mu twarzy.

– Trudno tu mówić o szybkości. Trzeba klienta obejść.

- Niekoniecznie. Musisz być tylko oburęczny.
- A jeśli nie jestem?
- To bądź. Ćwicz. Są sposoby.
- Tyle zachodu po to tylko, żeby mu nie zmasakrować twarzy?
- Niektórzy zleceniodawcy mają swoje wymagania. Ale nie tym razem.
- Cholera, to jest na wsi!
- Owszem. W mieście musiałbyś sprzątnąć także służbę. W wiejskim domu sami sobie gotują obiadki.
- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wystrzelać i służbę. Ale żeby mnie ubrać w wieś!
- Ejże, w maju na wsi jest ładnie. I nie mają tam żadnych sąsiadów. Chwytasz, jaka to korzyść.

Przestudiowałem mapę. Co najmniej dwie godziny jazdy na motorze na pełnym gazie.

Obejrzałem zdjęcia. Minister robił wrażenie nieszczerze uprzejmego, coś, czego nie znoszę. Dzieciaki: dziewczyna plus minus szesnastoletnia, dwóch chłopców, na oko dziesięć i pięć lat. Dobrze sobie to rozplanowali w czasie. Z daleka pachniało planowaniem rodziny. Pozwalało uniknąć wszystkich ślubów jednego dnia.

Zwykle załatwiałem klientów nocą. Ale w tym przypadku wydawało mi się, że sprytniej będzie zrobić to rankiem. Jutro wyjadę z Paryża o szóstej rano, o wschodzie słońca. Dojadę do ich wiejskiego domu koło ósmej, dziewiątej, kiedy będą w najlepsze leniuchowali w łóżku. Ciepłe rogaliki to będę ja.

Nastawiłem budzik i natychmiast zasnęłam jak uczciwy człowiek pracy.

Od czwartej już nie spałem. Musiałem za wcześnie się położyć, za zdrowo zjeść. Byłem w superformie, czułem pod skórą zew wielkich przestrzeni.

Cała szosa należała do mnie. O wschodzie słońca wieś jest piękna. Nigdy dotąd nie widziałem ziemi okrytej poranną rosą. Szafa grająca w moim umyśle odtwarzała w kółko *Everything in Its Right Place* Radiohead.

Nie czułem żadnych emocji, jedynie niesamowite uniesienie. Przyczyniał się do tego również poranek. W powietrzu było coś dziewiczego, coś zwiastującego niewyobrażalne niebezpieczeństwa.

Kiedy dotarłem na miejsce, po raz pierwszy w życiu doznałem błędnego wrażenia, że znalazłem się w domu. Czy to przez ten spokój? Przez te stare bezpretensjonalne mury? Ten

ogród na wiejską modłę? Gdyby nie praca, osiadłbym tu na zawsze.

Drzwi kuchenne były otwarte. Ludzie na wsi nie są nieufni. Nie oparłem się pokusie zajrzenia do lodówki. Niestety, nie znalazłem w niej wiejskiego mleka, na które nabrałem apetytu w tym sielskim otoczeniu. Większość wiktuałów zawierała zero tłuszczu. Zawiedziony, pocieszyłem się łykiem czerwonego wina prosto z butelki.

Na palcach zakradłem się po drewnianych schodach na górę. Całe szczęście, że zbadałem ich obrzydliwe zapasy, w przeciwnym razie pod wpływem uroku tego miejsca ludzie ci mogliby mi się wydać sympatyczni.

Wszedłem do pierwszego z brzegu pokoju. Spało w nim smacznie dwóch malców. Robota poszła gładko.

Z następnym pokojem miałem pewien kłopot. W małżeńskim łóżu spała pani domu – sama. Sprzątnąłem ją, zastanawiając się, gdzie może być pan domu. Jego miejsce w pościeli było wygniezione, ale już wstał. Za to zobaczyłem teczkę, wcale nie musiałem jej szukać.

„Pewnie poszedł pobiegać, pomyślałem, dopadnę go, kiedy wróci”. Na razie została mi już tylko smarkula. Ostatni pokój musiał należeć do niej. Tu też rozgrzebane łóżko stało puste.

„Biega z tatusiem?”, zastanowiłem się. Tak, to musi być to. Pasowało do beztłuszczowych produktów w lodówce. Tym dzisiejszym nastolatkom w głowie tylko anoreksja i towarzystwo.

Rozejrzałem się po pokoju. Można sobie być płatnym zabójcą, pokój młodej dziewczyny zawsze wzbudza rodzaj mistycznej ciekawości. Czego się mogłem o niej dowiedzieć z tego, co tu widziałem? Na ścianach nie było żadnych fotografii ani plakatów. Próbowałem sobie przypomnieć jej twarz ze zdjęcia. Nie zrobiła na mnie wrażenia. Chyba szczupła, grzecznie wyglądająca brunetka.

Przynajmniej raz byłem zadowolony ze swojej nieczułości. Kogoś innego na moim miejscu mogłaby wzruszyć młodość, która nie zdążyła jeszcze nabrać tożsamości.

Wydało mi się, że słyszę nad głową jakiś hałas. U szczytu schodów znajdowały się uchylone drzwi. Przez szparę w nich moje oko ujrzało rzecz niewiarygodną.

Była to łazienka. W wannie pełnej wody i piany nagi minister z podniesionymi rękami wpatrywał się z przerażeniem w smarkulę mierzącą do niego z pistoletu.

– Gdzie go schowałeś? – zapytała smarkula rozeźlonym tonem.

– Ależ kochanie, przestań się wygłupiać. Oczywiście, że ci go oddam.

Musiał mieć podobny głos, gdy brał udział w debatach telewizyjnych.

– Nie żądam, żebyś mi go oddał, żądam tylko, żebyś mi powiedział, gdzie go schowałeś.

Sama sobie przyniosę.

- W sypialni. Ale mama jeszcze śpi, nie idź tam, bo ją obudzisz.
- Gdzie w sypialni?
- Posłuchaj, nie pamiętam.
- Przysięgam, że jeśli szybko sobie nie przypomnisz, zastrzelę cię.
- To zupełny obłąd. Jak zdobyłaś tę broń?
- Zwędziłam przedwczoraj jakiemuś strażnikowi w Zgromadzeniu.
- To poważne przestępstwo. A ty skończyłaś osiemnaście lat, wiek cię już nie chroni.
- To ty popełniłaś zbrodnię.
- Posłuchaj, żadne prawo na świecie nie...
- Kradzież dziennika intymnego jest czymś wstrętnym.
- Szczerze żałuję. Jesteś taka tajemnicza, nie mogłem już wytrzymać, że nic o tobie nie wiem. Teraz to się zmieni. W przyszłości będziemy z sobą rozmawiać.
- Będzie to nasza pierwsza i ostatnia rozmowa, jeśli mi nie powiesz, gdzie schowałeś dziennik.

Może dzięki tej małej uda mi się zrealizować misję doskonałą: miała taki sam rewolwer jak ja. Będzie jej można przypisać prawdziwą jatkę. Tylko musi zlikwidować ojca. Z zapartym tchem zacząłem zakładać się sam z sobą. Zabije, nie zabije? Ja, który marzyłem o zabójczyni, byłem wniebowzięty. Czy to z powodu tej broni? Dziewczyna wydała mi się o wiele piękniejsza niż na zdjęciu.

- Kochanie, pozwól, że pójde i poszukam. Mówię ci, że nie wiem już, gdzie...
- To znaczy, że go gdzieś rzuciłaś, a to jeszcze gorsze.
- Jestem twoim ojcem. Nie zabijesz własnego ojca.
- Nazywają to ojcobójstwem. Jeśli coś ma nazwę, to znaczy, że istnieje.
- Zabić własnego ojca za pamiętnik!
- Brak słów na pogwałcenie pamiętnika. A to dowodzi, że to coś jeszcze gorszego. Coś, co wprost trudno nazwać.
- Zresztą nie ma w nim nic kompromitującego.
- Co? Przeczytałaś go?
- No pewnie. W przeciwnym razie po co bym ci zabierał?

Tego już było dla niej za wiele. Opróżniła magazynek. Osłupiały minister osunął się do wody, martwy.

Stojąc nieruchomo, dziewczyna kontemplowała trupa ojca z napięciem artysty, który stworzył właśnie swoje pierwsze dzieło. Krew wymieszała się z pianą do kąpieli.

Mogłem ją sprzątnąć bez jej wiedzy, ale zależało mi, żeby widziała, jak to robię. Kiedy spoczęły na mnie jej wielkie oczy, wypróbowałem metodę, o której mówił Jurij: jedna skroń, potem druga, lekko w górę.

Nawet nie mrugnęła.

Wróciłem do sypialni pani domu, zabrałem teczkę i odjechałem.

Po drodze musiałem się zatrzymać. Nie mogłem czekać aż do Paryża. Za osłoną krzaków spuściłem się. Dziwne, ale nie przeżyłem takiej rozkoszy, jak oczekiwałem.

Motocykl pokonywał kilometry asfaltu, ja zaś przeżuwałem świeżo doznany zawód: dlaczego taki nędzny orgazm? Jak dotąd przy wszystkich kolejnych misjach pod tym względem było ekstra, chociaż zabijałem brzydule. A ten jeden raz, kiedy trafiła mi się ślicznotka, efekt okazał się taki mizerny. Tym to dziwniejsze, że byłem podniecony do granic wytrzymałości.

Najwyraźniej erotyka onanisty do nauk ścisłych nie należy.

W mieszkaniu spróbowałem w łóżku jeszcze raz; możliwe, że potrzebowałem intymności własnych pieleszy, by osiągnąć siódme niebo. Odtworzyłem w głowie cały film: dzieci, kobieta, łazienka, ojciec, ta mała. Nie było to z pierwszej ręki, ale działało. Jednak góra znowu urodziła mysz.

Zniesmaczony zadałem sobie pytanie, czy aby nie jestem zboczeńcem z rodzaju tych, co to prawdziwą satysfakcję osiągają tylko z kobietami albo facetami w dwurzędowych garniturach.

Z rozszalaenia sięgnąłem po teczkę: co też w niej mogło być aż tak ważnego? Między plikiem obrzydliwych dokumentów znalazłem pamiętnik dziewczyny. Tu go, łajdak, schował.

Otworzyłem zeszyt i na widok delikatnego, dziecinnego pisma pokrywającego strony zawstydziłem się i natychmiast go zamknąłem. Po raz pierwszy doświadczyłem fizycznego poczucia dobra i zła.

Nawet przez chwilę nie brałem pod uwagę, że mógłbym smarkatej nie zlikwidować. Umowa to umowa, płatny zabójca wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale przeczytanie jej pamiętnika wydało mi się nagle niewybaczalną zbrodnią.

Najlepszy dowód, że ta mała tylko dlatego nie zawahała się zabić własnego ojca. Na jej miejscu zrobiłbym to samo, nie tyle z powodu zakazanej lektury, ile jego zachowania: nie zniósłbym tego, jak się do niej odzywał. Zupełnie jakby przemawiał do swoich wyborców. Poza tym dlaczego od razu nie powiedział, gdzie ukrył jej skarb? Można by pomyśleć, że chciał ją wkurzyć.

Dam głowę, że dobrze pamiętał, gdzie włożył pamiętnik. Jeżeli zaprzeczył, to tylko dlatego, że dokumentów w teczce nie mógł zobaczyć nikt, nawet własna córka.

Musiały więc być tajne. A przecież wydały mi się potwornie nudne. Jedną z paranoi polityków jest wyobrażanie sobie, że ich drobne sprawy pasjonują tłumy.

Tymczasem jedyną fascynującą rzeczą w teczce był pamiętnik. I pomyśleć, że potępiałem ojca, a sam aż się paliłem, by pójść w jego ślady! Na próżno wmawiałem sobie, że intymność tej smarkuli musi być zupełnie nieciekawa, że jej głupocie najlepiej świadczy fakt, iż pisała pamiętnik – umierałem z chęci przeczytania go.

Postanowiłem, że tego nie zrobię. Do decyzji skłonił mnie głód; już dawno zauważyłem, że zabijanie pobudza apetyt. A apetyt wzmagają seksualne szaleństwa, jakie sobie zaraz po tym fundowałem. W przewidywaniu wilczego głodu przed każdym zleceniem napełniałem lodówkę.

Tym razem zlikwidowałem pięć osób. Nie, cztery. Miałem więc dość powodów, żeby konać z głodu. Jedzenie po wykonanym zadaniu: czyste szczęście. Jest się człowiekiem pracy, który zasłużył na porządną strawę. Pożera się z czystym sumieniem, zarobiło się na swoją porcję w pocie własnego rewolweru.

Zabijanie wywołuje głód, lecz nie byle czego. W dzieciństwie oglądałem w telewizji kryminały. Kiedy ludzie zaczynali do siebie strzelać, wujek mówił: „Będzie zimne mięso”. Nie wiem, czy to z powodu uwag wujka, zauważyłem jednak, że mordowanie zaostrza apetyt na zimne mięsiwa.

Nie ma to nic wspólnego z żadnymi wędlinami czy tatarem: chodzi o mięso upieczone i schłodzone. Można je samemu zrobić. Ja wolę nie zawracać sobie tym głowy. Kupuję zimny rostbef, pieczonego kurczaka. Nie wiem czemu, ale jeśli sam je przyrządzam, mniej mi smakują.

Pamiętam, że po moim pierwszym dziennikarzu, chcąc się o tym przekonać, wpadłem na głupi pomysł, żeby je odgrzać; nie było efektu. Zimne mięsiwo ma smak ciała.

Tak właśnie, ciała, nie mięsa. W mięsie brzydzi mnie wszystko: i nazwa, i rzecz. Mięso to pasztet, skwarki, to dojrzały mężczyzna, to przejrzała kobieta. Ja lubię ciało, określenie mocne i czyste, jędrną i krzepką rzeczywistość.

Wyjąłem z lodówki przewidzianego na tę okazję pieczonego kurczaka. Był to mały kurczaczek o chudych kończynach, młody trupek spoczywający na grzbiecie ze złożonymi udkami i skrzydełkami. Znakomity wybór.

Z drobiu najbardziej lubię szkielet. Pożerałem więc wszystko jak leci, żeby się jak najszybciej dostać do kości. Zatopiłem w nich zęby, w upojeniu miażdżąc słono – pieprzne

kostki. Nie oparł mi się żaden staw. Byłem pa – nem opornych chrząstek, mostka, który próbował mnie przechytryć, żeberek tak chudych, że każdy by nimi wzgardził oprócz mnie, który miałem na nie własną szacowną metodę: przemoc.

Skończywszy radosne gruchotanie kości, wypilem kilka łyków czerwonego wina prosto z butelki. Ciało i krew: posiłek idealny. Padłem na łóżko, odurzony jedzeniem.

Człowiek nie powinien się obżerać, kiedy czuje w duszy rozterkę. To powoduje różne romantyczne uniesienia, makabryczne porywy, liryczne rozpaczce. Będąc w elegijnym nastroju, powinno się pościć, aby zachować trzeźwy i nieczuły umysł. Ile to bigosu musiał pochłonąć Goethe, zanim napisał *Cierpienia młodego Wertera*?

Filozofowie przedsokratejscy, którzy żywili się dwiema figami i trzema oliwkami, zostawili po sobie myśli piękne i proste, i wolne od sentymentalizmu. Rousseau, który napisał rozwekłą *Nową Heloizę*, utrzymywał, że jada „bardzo lekko: najlepszy nabiał, niemieckie wypieki”. W tym budującym oświadczeniu przejawia się cała hipokryzja Jana Jakuba.

A ja po tej wyżerce zacząłem roztrząsać swój wypad na wieś. Z rodziny, do której pojechałem, zostało tyle, co z kurczaka: nic.

Oczywiście, w przypadku mojej porannej misji zostały ciała. Po raz pierwszy zastanowiłem się, kiedy ktoś je znajdzie i kto to będzie. Zwykle tego typu detale były mi obojętne.

O tej porze mała nie powinna wykazywać jeszcze żadnych oznak śmierci, nie licząc pewnego zeszywnienia i krwawych otworów w obu skroniach. Upadła na plecy, ze zgiętymi nogami. Na jej pizamie nie było żadnych plam krwi.

Czemu o niej pomyślałem? Zwykle po zabójstwie i seansie onanizmu nie zwracałem sobie więcej głowy moimi ofiarami. I nawet podczas zabójstwa i seansu onanizmu myślałem nie tyle o nich, ile o doskonałości mojego czynu, moich gestów i narzędzi. Jediną racją istnienia moich klientów było dostarczanie mi paliwa do działania. Czemu miałbym się nimi interesować? Wszystko, co z nich pamiętałem, to ich mina w chwili śmierci.

I może właśnie z tego powodu dziewczyna odstawała od reszty. Nie miała na twarzy, jak tamci, tego wyrazu pełnej niedowierzania grozy; zdawała się okazywać autentyczną ciekawość dalszym ciągiem, mimo że od razu wiedziała, iż jest nieuchronny. W jej oczach nie było cienia strachu, jedynie wielka żywotność.

Co prawda sama przed chwilą zabiła, a wiem, jak bardzo człowiek czuje się w takiej chwili żywy. I jeszcze to: ja nigdy nie zabiłem własnego ojca; samolot, którym leciał, rozbił się, kiedy miałem dwanaście lat.

Wciąż leżąc na łóżku, sięgnąłem po zeszyt. Moim obowiązkiem było go spalić, żeby nikt nigdy go nie przeczytał. Tego by sobie z pewnością życzyła mała. W moich oczach hańbą było, że minister dopuścił się takiej niedyskrecji wobec własnej córki; przecież nie pójdę w jego ślady.

Jakiś podstępny głos podpowiadał mi, że nie jestem jej ojcem, więc w moim przypadku nie byłoby to takie straszne. Zgrzytając zębami dodawał, że mała o niczym się nie dowie, niepotrzebnie się więc krępuję. Moja świadomość zaprotestowała: mała nie może się już bronić, tym bardziej więc należy uszanować jej wolę.

Inny głos przeskoczył nagle na inny temat: „Jak myślisz, dlaczego dotykając się, masz mniejszą przyjemność? Bo stałeś się więźniem tej dziewczyny. Splądruj ją do końca, to się od niej uwolnisz; przeczytaj jej pamiętnik, a do – wiesz się o niej tego, co trzeba. W przeciwnym razie stanie się dla ciebie mityczną bohaterką i będzie kłopot”.

– Ten ostatni argument zwyciężył. Z gorączkową pożądlivością rzuciłem się na zeszyt.

Przeczytałem go jednym tchem. Kiedy skończyłem, panowała głęboka noc. Sam nie wiedziałem, co czuję. Jedyne, czego byłem pewny, to to, że popełniłem błąd: nie wyzwoliłem się. Lektura nie tylko nie zaspokoila mojej ciekawości, ale ją pogłębiła i wzmogła. Pewnie spodziewałem się natrafić na wynurzenia, wyznania i różne idiotyzmy i przekonać się, że zabiłem zwykłą dziewczynę.

Nic z tych rzeczy. Najbardziej uderzającą cechą tego dziennika były jego luki. Ani razu nie pojawiło się w nim imię zmarłej. Żadnej wzmianki o miłości, o przyjaźni, o sprzeczce. Akapit najbardziej chyba osobisty pochodził z lutego tego roku:

„Te wielkie stare mieszkania są źle ogrzewane. Wzięłam gorącą kąpiel, założyłam kilka warstw ubrań i zakopałam się w łóżku. Mimo to umieram z zimna. Wyjęcie ręki spod kołdry, żeby to zapisać, jest prawdziwym wyczynem. Czuję się jak nieżywa. Trwam w tym stanie od tygodni”.

Mnie, któremu było tak trudno doświadczyć najprostszych emocji, na myśl o tym zimnie przeszły ciarki. Ścisnęło mi się serce. Ta bogata dziewczynka, z której tak łatwo byłoby się nabijać, opisała tu jedno ze znamion biedy: to poczucie głębokiego ubóstwa organizmu, który jest niezdolny się rozgrzać.

Można by o niej powiedzieć co najmniej tyle, że była powściągliwa. Zbiło mnie to z tropu: czyżby bała się, że jest śledzona? Miałaby rację, zważywszy ciąg dalszy, ale któż pisze dziennik, jeśli się obawia, że zostanie on zarekwirowany? Być może ta właśnie obawa zmusiła ją do tak absolutnej dyskrecji. Ale w ogóle po co się zwierzać pamiętnikowi, skoro się wszystko przemilcza?



Nic z tego nie rozumiałem, pewnie dlatego, że nie byłem młodą dziewczyną. Zawsze mi się wydaje, że rozumiem kobiety za sprawą pogardy, jaką we mnie budzą. Co innego młode dziewczyny. Głupie gąski, w większości dziewice, są tak samo odarte z tajemniczości, jak starsze od nich kobiety. Ale istnieją też milczące panienki, najdziwniejszy wytwór ludzkiej natury. Moja ofiara była jedną z nich.

Zadzwieczył telefon. To Jurij.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Zapomniałem.

– Jak poszła misja?

– Pięć na pięć. W tym przypadku pasuje to jak ulał.

– A dokumenty?

– Leżą obok.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłeś – powtórzył lodowatym tonem.

– Byłem wykończony. Zasnąłem.

– Więcej tego nie rób. Musimy mieć do ciebie zaufanie.

To „my” zabrzmiało jak poważne ostrzeżenie.

– No dobrze. Przywieź dokumenty.

– O tej porze, w niedzielę?

– Nie wierzę własnym uszom, Urban. Masz się za związkowca?

– Już jadę.

Miał rację. Tak to się zaczyna, a potem człowiek domaga się płatnego urlopu.

Przez chwilę pomyślałem o włożeniu pamiętnika z powrotem do teczki. W końcu w teczce go znalazłem. Nie mogłem się zdecydować, co robić. Ten zeszyt zdążył się już stać moim skarbem. A poza tym co mogło być ciekawego dla szefa w pisaninie młodej dziewczyny, której nie znał i którą zabiłem?

Przejechałem cały Paryż. Motor parsknął z niezadowolenia. Rozumiałem go. Jurij popatrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, odbierając dokumenty. Chciałem od razu odjechać, ale mnie zatrzymał.

– Odbiło ci?

– O co jeszcze chodzi?

– Twoja zapłata!

Wręczył mi kopertę.

– Przelicz.

Spałem niespokojnie. Rano obudził mnie jakiś dziwny hałas. Otworzyłem oczy: po pokoju kołowała jaskółka, która wleciała przez otwarte okno. Obijała się o ściany, wpadając w coraz większą panikę.

Wyskoczyłem z łóżka, żeby otworzyć okno na oścież. Jaskółka była tak młoda, że nie zrozumiała znaczenia mojego gestu. Przerażona, szukając schronienia, wcisnęła się w wąską szczelinę między telewizorem i ścianą. Zamarła w bezruchu; słyszałem tylko śmiertelną ciszę.

Przytknąłem głowę do ściany, żeby zobaczyć małą. Była taka drobna i chudziutka, że zdawała się składać jedynie z pięciu długich piór. Wyciągnąłem rękę, ale moje wielkie łapy zabójcy nie mogły jej dosięgnąć. Nie mogłem też przesunąć telewizora ustawionego na czterech chwiejnych ceglach. Jak wyciągnąć stamtąd tę ptaszynę?

Przyniosłem z kuchni szpadkę do szaszłyków i wsunąłem ją za telewizor.

Jaskółka przesunęła się w miejsce, gdzie nie mogłem jej swoją włócznią dosięgnąć. Czemu tak mocno waliło mi i serce? Czułem ból w klatce piersiowej.

Zdyszany, opadłem na fotel. Dlaczego ptak schował się za odbiornikiem, którego nigdy nie włączam? Dlaczego i nie chciał stamtąd wyjść? A przede wszystkim czemu odczuwałem taką grozę? Nie rozumiałem.

W końcu, zniechęcony, nacisnąłem pokryty kurzem przycisk. Na poszarzałym ekranie pojawiły się brudne obrazy. Towarzyszyły im jakieś głosy, jakaś śmieszna t muzyka.

A potem nadano główną wiadomość: minister wraz i z rodziną zamordowani w swojej wiejskiej posiadłości. Mówiono o mnie, ale nikt nie wiedział, kim jestem. Miałem nadzieję, że powiedzą imiona ofiar, lecz niestety nie. Ofiary zdążyły już stracić tożsamość.

Miałem na tyle przytomności umysłu, żeby zabrać rewolwer dziewczyny. Dziennikarze wspominali tylko o tajemniczym zabójcy. Widzieli w tym jedynie ogień. Zarechotałem szyderczo.

Potem prezenterka zaczęła mówić o bezrobociu. Wyłączyłem.

Jaskółka za telewizorem była martwa. Jej zwłoki leżały na podłodze.

Wziąłem ją do ręki, a moje serce znów rozdzwoniło się na alarm tak, że mało mi piersi nie rozdarło. Było to bolesne, i lecz nie mogłem się zdobyć na wypuszczenie ptaka z dłoni.

Przyjrzałem się jej łebkowi. Miała szeroko otwarte oczy, jak tamta dziewczyna w chwili śmierci. Skąd to wrażenie, że to ta ptaszyna kazała mi włączyć telewizor? i skąd przekonanie, że zabiły ją obrazy przedstawiające zbrodnię? Pokazany został przecież tylko dom. A jednak czułem, że to wystarczyło.

Przyłożyłem jaskółkę do swego nagiego torsu, przytuliłem ją do walącego serca w

niedorzecznym pragnieniu, żeby ten eksces przywrócił jej życie, w nadziei, że bicie mojego serca udzieli się jej małemu truchelku, a poprzez nią ożyje inne kruche ciało, jaskółko, skąd mogłem wiedzieć, że to ty, a teraz, kiedy zrozumiałem, kim jesteś, żałuję, tak, chciałbym przytulić cię do serca, ja, który z zimną krwią cię ograbiłem, chciałbym cię teraz rozgrzać, ja, który płonąłem z ciekawości, kim byłaś, kim jesteś, nazwę cię teraz Jaskółką.

To imię do ciebie pasuje. Nigdy dotąd żadna dziewczyna nie nazywała się Jaskółka. To piękne imię dla żywej. Nikt nie jest tak żywy jak jaskółka, zawsze czujna, jeśli akurat nie odlatuje na zimę. Nie wolno cię mylić z pospolitymi językami, a tym bardziej doszukiwać się pokrewieństwa z wulgarnymi istotami ludzkimi z twojego otoczenia. Ty byłaś jaskółką, żyłaś w ciągłym pogotowiu, podobało mi się to, przyznaję, nie chciałem, żebyś się uspokoiła, podobało mi się, że się bałaś, podobało mi się w tobie to drzenie, twoje oczy trwożliwe, a zarazem odważne, podobał mi się twój jaskółczy niepokój, możliwe, że posunąłem się za daleko, chcąc cię utrzymać w tym poczuciu trwogi, chcąc, żeby trwało wiecznie, Jaskółko, czy nie mogłabyś ożyć, ty, którą zabiłem pewnego wiosennego dnia, tej wiosny, której według Arystotelesa nie czynisz, można być najbardziej podziwianym greckim myślicielem i mylić się, można być najbardziej bezmyślnym płatnym zabójcą i popełnić pomyłkę, zabić cię przez pomyłkę, przebac, Jaskółko, serce to pompa, i moją pompę poniosło, czy nie mogłabyś wpompować swojego życia w to, co tak mocno bije, zbyt mocno, że aż boli, czy nie mogłabyś odrodzić się z mojego bólu, nie, wiem, że nie możesz, nie ma drugiej szansy, skoro Orfeuszowi się nie udało, tym bardziej nie uda się mnie, twojemu zabójcy, mała pierzasta Eurydyko, moim jedynym sposobem na wskrzeszenie cię jest to imię, które ci nadaję i które cudownie do ciebie pasuje, Jaskółka, która nieodwracalnie odeszła i która powraca, by z trzepotem skrzydeł mnie nawiedzać.

Mój liryczny poryw przerwał telefon.

- Masz dziwny głos – powiedział Jurij, który sam miał dziwny głos.
- Dziś rano do mojej sypialni wleciała jaskółka, wpadła za telewizor i wyzionęła ducha.
- To pewnie był język. Języki to najgłupsze stworzenia na świecie.
- To była jaskółka, miała dwudzielny ogon.
- Znaczący z pana.
- Co mam zrobić z jej trupem?
- W naszym zawodzie uczą, żeby zwłoki zostawiać na miejscu, chyba że zleceniodawca zarządzi inaczej.
- Trzymam ją w ręku.

- No nie wiem. Do rondla ją z cebulką. Słuchaj, brakuje dokumentów. Otwierałeś teczkę?
  - Tak. Nie wolno?
  - Wolno. Oddałeś wszystko, co było w środku?
  - Tak. Obejrzałem dokumenty, ale były nudne, więc je z powrotem włożyłem.
  - Jesteś pewny, że nic z niej nie wypadło?
  - Poczekaj, zajrzę pod łóżko.
- Zajrzałem. Nie było żadnej kartki. – Nie nic nie ma.
- Dziwne.
  - To coś poważnego?
  - Owszem.
  - O jaki dokument chodzi?
  - Zajmij się tym. Jak coś znajdziesz, zadzwoń.

Rozłączył się. Przez moment pomyślałem o pamiętniku. Nie, niemożliwe, żeby o niego chodziło. Przekartkowałem zeszyt, sprawdzając, czy nie wsunął się do niego jakiś papier. Nic. Ale pismo dziewczyny wzruszyło mnie tak, jakbym spojrzał na twarz.

Położyłem jaskółkę na telewizorze i zszedłem na dół kupić gazety. Ale daremnie je przeszukiwałem, nigdzie nie było żadnej wzmianki o imionach moich ofiar. Muszę w najbliższych dniach śledzić nekrologi. Nie było pośpiechu: pogrzeby zamordowanych opóźniają się.

Z ptakiem w kieszeni poszedłem na cmentarz Père-Lachaise. Obok grobu Nerval'a wykopałem rękami dziurę, złożyłem w niej jaskółkę i przysypałem ją ziemią. Czyż nie była Chimera, Córką Ognia? Nieopodal Balzac i Nodier będą jej dotrzymywać towarzystwa. Pomyślałem, że Gérard nazwałby ją Oktawią, Honoré Serafitą, a Charles widziałby w niej Wróżkę Okruchów. Powierzyłem im bowiem młodą istotę ludzką.

Zasmucony siedziałem długo na grobie Nerval'a, byłem Ponurakiem, Wdowcem, Niepocieszonym, dwukrotnie pokonany przepłynąłem Hades, mój magiczny rewolwer niósł czarne słońce melancholii.

O godzinie osiemnastej strażnik z cmentarza potrząsnął mnie za ramię. Nie zauważyłem ani upływu czasu, ani nie usłyszałem dzwonu na zamknięcie cmentarza. Wyglądałem jak Nervalowski bohater, nawiedzony i opętany.

Zmierzając do wyjścia, stwierdziłem, że stał się cud. Moja oziębłość zamieniła się w swoje przeciwieństwo, w niesamowitą nadwrażliwość. Odczuwałem wszystko do entej potęgi; moją duszę wypełniała woń lip, piękno piwonii szeroko otwierało mi oczy, pieszczota majowego wiatru ożywiała moją skórę, śpiew kosów rozdzierał mi serce.

Ja, który ostatnimi czasy z najwyższym trudem doświadczałem najprostszycy emocji, byłem bombardowany teraz przez nadmiar wrażeń, w najwyższym stopniu i bez najmniejszego wysiłku wprawiający mnie w stan wzruszenia. Tak jakby dopiero pogrzebanie jaskółki przywróciło mi zmysły. Ten pierwszy raz, kiedy nie pozbawiałem własnoręcznie życia, spowodował we mnie wewnętrzną odnowę.

Dotąd było tak, jakby likwidowani przeze mnie klienci byli ofiarami, których dopiero ostateczne poświęcenie mogło wzbudzić we mnie jeśli nie uczucie, to przynajmniej jakiś niepokój seksualny. Teraz wystarczyła szczerza żałoba po jaskółce, by przeczyścić moje peryskopy.

Na ulicy uświadomiłem sobie, że nie przetestowałem jeszcze zmysłu smaku. Kupiłem czereśnie i jadłem je po drodze, wypływając pestki niczym zabłąkane kule. Ciepły i krwisty miąższ owoców sprawił mi nieopisaną radość. Od miesięcy nie pamiętałem, jak przyjemne może być jedzenie czegoś smakowitego, w niczym nieustępujące obżeraniu się zimnymi mięsami.

Po powrocie do domu zapragnąłem wypróbować ucztę angażującą wszystkie zmysły. Pomyślałem o Jaskółce i natychmiast wpadłem w uniesienie. Jak przewidywałem, początek był mocny.

W łóżku wziąłem w objęcia ukochaną myśl. Dziewczyna-ptak odłożyła rewolwer i poddała się moim pocałunkom. Onieśmiała mnie swoimi oczami jak broń palna, od czasu do czasu całowałem jej powieki, nie tylko dla urody tego gestu, ale również po to, by uciszyć jej czujność. Czemu od razu nie dostrzegłem, jaka jest piękna?

Istnieją urody rzucające się w oczy i takie, które są zapisane hieroglifami: na rozszyfrowanie ich wspaniałości potrzeba czasu, lecz kiedy już się objawi, jest piękniejsza od piękna.

Czy aby nie idealizowałem Jaskółki z tej prostej przyczyny, że ją zabiłem? Moje zmysły zafunkcjonowały z opóźnieniem, lecz teraz, analizując niezwykle wyraźne wspomnienie jej twarzy, wpadały w uniesienie w obliczu tak niezwyklej gracji. I pomyśleć, że tak długo marzyłem o pięknej zabójczym, a kiedy ją wreszcie znalazłem, niemal natychmiast ją uśmierciłem! Skrzywienie zawodowe – cóż za kretyński zawód! Pozostał mi po niej jedynie dziennik i kilka przebłysków w pamięci.

Dziś powszechnie nazywa się piękne dziewczyny zabójczymi. Ty, Jaskółko, zabiłaś naprawdę. Znów cię widzę, jak stoisz wyprostowana, z rewolwerem wymierzonym w twojego pławiącego się w wannie ojca ministra, przeciwstawiając twe oszczędne słowa zabójczym jego gadulstwu hipokryty, widzę twój profil czysty i surowy, twoje cudowne oburzenie, twoje

strzały zamieniające tę kąpiel w pianie w kąpiel we krwi, a potem wchodzę ja, ty mnie widzisz, rozumiesz, że umrzesz, z odwagą ciekawości zatapiasz swoje oczy w moich.

I oto moment, w którym zamieram: nie widziałem dotąd nic równie pięknego, jak to wyzwanie w twoich oczach, zabijesz mnie, ale się nie boję, patrzę na ciebie, jestem miejscem, w którym wszystko się dzieje, jestem akcją, która się w nim rozwija.

Ale w tym momencie akcji, leżąc w łóżku zeszywniały z pożądania i miłości, zmieniam bieg rzeczy. Składam broń u twoich stóp, biorę cię w ramiona, podnoszę z ziemi twoje drobne ciało, Jaskółko, jesteś miejscem, w którym wszystko się dzieje, jesteś akcją, która się w nim rozwija, uczynię cię pępkiem świata. Poznam luksus twojego seksu, stanę się panem mojego, jak nigdy dotąd, kiedy znajdę się w tobie i wymówię twoje imię, twoim imieniem jest Jaskółka, I zostanie ci zwrócone życie intensywniejsze niż przedtem.

Moje doznania są nieziemsko wyraziste, czuję twoją skórę niczym płatek róży, twoje piersi małe i twarde jak zielone cytryny, twoją talię, którą mogę objąć dłońmi, tym pięknym gestem, do którego skłania talia osy; wewnątrz nurkujemy w nieznane, jesteśmy niemal przerażeni tym bezmiarem słodczy, w porównaniu z którą jedwab i aksamit są szorstkie, gdyby masa perłowa była tkaniną, do niej tylko można by porównać nasze zetknięcie, potrzeba odwagi, żeby stawić czoło tej rozkoszy, twój seks jest jak koperta wytęsknionego miłosnego listu, z zamkniętymi oczami ją otwieram, serce wali mi jak szalone, nurkuję w tę kopertę, a to, co odkrywam w środku, nie jest papierem zapisanym słowami, tylko rozsypaną czerwoną różą, samymi jej płatkami, wślizguję się w ten nadmiar delikatności, upojenie przenika do mojej krwi, najpierw niepostrzeżenie, a w chwilę potem z siłą kataklizmu.

Uderzające piękno uderza nieco mniej następnego dnia. Bywa i na odwrót. Z każdym dniem piękno tej, którą zabiłem, uderza mnie coraz bardziej, a słowo „uderza” nie jest tu bynajmniej metaforą. Cóż innego robię, jeśli nie ukierunkowuję siły jego rażenia ku określonej sferze mojego ciała? Tak wielka przemoc uderza w moją krew, która napływa z trudną do wytrzymania gwałtownością. Przygotowuję swoją własną masakrę.

Czuję, że jeszcze moment, a będę szczytował do utraty tchu, oto nadeszła ta wielka chwila, ostatnia przeprawa, Jaskółko, ofiaruję ci wszystko, ale co się dzieje, jakaś zadra, ale gdzie, w mojej głowie, moim seksie, w moim sercu, nie wiem, zadra, trudno, kontynuuję, im głębiej wchodzę w Jaskółkę, tym głębiej zadra wchodzi we mnie, trudno; mimo wszystko szczytuję, ale jest to „mimo wszystko”, mimo wszystko jest to rozkosz, zredukowana, niczego nie przekraczam, nie pęka mi dusza, góra Fudzi urodziła mysz, moje ramiona są puste, jestem sam, mój poryw był jałowy, *post coitum animal triste*, moja tandetna żądza uśmierciła Jaskółkę, myślałem, że posiadam młodą piękną zabójczynię, a posiadła mnie moja ręka

onanisty.

Chcąc otrząsnąć się z tego obrzydliwego uczucia, złapałem dziennik dziewczyny. Było to jak wpakowanie brudnej głowy w śnieg. Ten zeszyt wspominający jedynie zimną i krótką egzystencję martwej dziewicy stał się dla mnie tekstem świętym. Niektóre dania wymagają obecności na stole wody do obmycia palców. Ten pamiętnik był moją wodą do obmycia duszy.

A przecież mnie ostrzegano: im mniej będziemy wiedzieć o naszych ofiarach, tym lepiej się będziemy czuli. Nigdy nie złamałem tej zasady, nigdy nie czułem takiej potrzeby. Skusił mnie dopiero ten dziennik. Ale dlaczego wprowadził mnie w taki stan? Przypominałem nastolatka kartkującego katalog Trois Suisses, jakby to było pismo erotyczne. Tak jakbym mając trzydziestkę na karku, jeszcze nigdy nic nie widział. Skądinąd była to prawda: nigdy jeszcze nie widziałem nic prawdziwie sekretnego. W dzisiejszych czasach intymność to Graal.

Tym, co czyni jakiś tekst świętym, jest to, że jak Biblię przeczytali go wszyscy, albo przeciwnie, starannie ukrywano go przed czymkolwiek wzrokiem. Samo to, że nie był czytany, to za mało, bo inaczej zbyt wiele manuskryptów zasługiwałoby na miano świętych. Liczy się głębokość pragnienia ukrycia go przed światem. Młoda grzeczna dziewczyna posunęła się do zabicia własnego ojca, by zachować swój sekret; nie było nic bardziej świętego niż dziennik Jaskółki.

– Wciąż nic? – zapytał Jurij przez telefon.

– Nic. Gdybym coś znalazł, tobym zadzwonił. Usłyszałem, jak mówi po rosyjsku do drugiej osoby, która coś zabelkotała. Ton ich głosów był niespokojny.

– Mamy dla ciebie zlecenie. Dziś wieczór.

– Znowu? Nie dalej jak wczoraj zabiłem pięć osób.

– No to co? Jest jakiś limit?

– Zwykle zostawiacie mi jeden dzień na odetchnięcie między jednym klientem a drugim.

– Zwykle okazujesz więcej entuzjazmu. To pilne, tylko ty jesteś wolny.

– O kogo chodzi?

– Nie mówi się takich rzeczy przez telefon. Przyjeżdżaj natychmiast.

Zupełnie nie byłem w nastroju. Wykończony, ale posłuszny, przejechałem cały Paryż.

Rosjanin przywitał mnie lodowato. Rzucił mi jakąś fotografię.

– To filmowiec.

– Nareszcie jakaś nowość. Ale po co likwidować filmowca?

– Szefowi nie spodobał się jego film – powiedział Jurij, cofając podbródek.

– Gdybym miał sprzątnąć wszystkich filmowców, których filmy mi się nie spodobały, niewielu by zostało.

– Bawimy się w krytyka?

– Dlaczego akurat dziś wieczorem?



– Dlatego.

Wyraźnie im podpadłem.

– W Neuilly. O dwudziestej drugiej wyjdzie z sali projekcyjnej.

– No to zdążę jeszcze zajrzeć do siebie – pomyślałem głośno.

– Nie. Trudno tam trafić. Nie możesz sobie pozwolić na spóźnienie.

– Mam wrażenie, że chwilowo w ogóle na niewiele mogę sobie pozwolić.

– Racja.

Długo krążyłem po tej nieznannej dzielnicy, zanim wreszcie trafiłem na miejsce. Byłem co najmniej dwie godziny przed czasem. Na szczęście zabrałem z sobą dziennik Jaskółki.

Siedząc na ławce, czytałem. W życiu tej małej nie było nikogo, ani chłopaka, ani dziewczyny, ani nawet, że tak powiem, jej samej. Nigdy o sobie nie wspominała, podobnie jak nie mówiła o swoich rodzicach czy braciach. Tak jakby rodzaj ludzki jej nie interesował.

Pisała powściągliwie i stanowczo o tym, co widziała, o uczuciach. Nad te strony wzbijał się jakiś dźwięk. Czytałem, nadstawiając ucha, i wydało mi się, że rozpoznaję jedną z piosenek Radiohead. Prawdopodobnie mój własny umysł podkładał ją pod ten tekst, zapewne jednak nieprzypadkowo nosiła ona tytuł *Everything in Its Right Place*.

Pozwoliłem, by zawładnęła mną ta hipnotyczna litania. Tak, wszystko było na właściwym miejscu: filmowiec na projekcji swojego filmu, infantka w swojej śmierci, płatny zabójca na czatach. Poprzez zamieć decybeli powtarzało się jedno zdanie: *What is it that she tries to say?* Dobre pytanie.

Przy niektórych zdaniach zatrzymywałem się dłużej: „Żaden inny kwiat nie kwitnie tak jak piwonia. W porównaniu z nią inne kwiaty wyglądają, jakby zrzędziły przez zęby”. Albo: „Obserwując rysy na ścianie, nie potrafię ustalić miejsca, od którego się zaczęły: na górze czy na dole? Pośrodku czy na skraju?”. Albo też: „Z zamkniętymi oczami słucha się muzyki o wiele gorzej. Oczy są nozdrzami uszu”. Fakt, że nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Ale najbardziej mnie ciekawiło, dlaczego młoda dziewczyna pisała o takich rzeczach.

Niektóre jej stwierdzenia były tyleż proste, co dziwne: „Dzisiejszego ranka moje serce jest wielkie”. I na tym koniec. Dlaczego czułem się tak rozdarty? Próbowałem sobie wmówić, że wartość tych zdań kryje się w ich autorce. Nie wzruszyłyby mnie, gdyby wyszły spod pióra jakiejś statecznej matrony. Głupie rozumowanie: stateczna matrona nigdy by takich słów nie napisała. Ich zwięzłość, ich samotność, ich ubóstwo, ich mądra daremność mówiły o istocie młodej, nieosadzonej w życiu. Ich kruchy wdzięk mówił o urodzie zmarłej infantki. Ich dziwność mówiła o jej przeznaczeniu.

Okolo dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć moja sumienność zawodowca włączyła sygnał ostrzegawczy. Zaczaiem się pod drzwiami sali projekcyjnej. Mój filmowiec miał być przysadzisty, z długimi włosami. Kręcenie filmów okazało się bardziej niebezpieczne, niż myślałem.

Zauważyłem, że nie czuję żadnej radości ani ekscytacji na myśl o zabójstwie; wyłącznie zniecierpliwienie namiętnego czytelnika, zmuszonego przerwać lekturę z powodu jakiegoś nudnego zajęcia domowego. O dwudziestej drugiej dwadzieścia pięć drzwi się otworzyły.

Wyszło dużo ludzi. To mi nie ułatwi zadania. Sacrum zabójstwa wymaga bodaj minimum intymności. Nie mówiąc już o niedogodności posiadania świadków.

Kiedy pojawił się filmowiec, otaczało go tylu ludzi, że nie było co marzyć o oddaniu strzału. Ci, którzy byli już na zewnątrz, podeszli teraz, otaczając szczelnym kręgiem mojego klienta. Podniosła się wrzawa, życzyłem mu, żeby usłyszał wiele gorących komplementów: byłyby to ostatnie pochwały zebrane przez artystę za życia.

Z wolna rój zaczął się rozpraszać. Ludzie się rozchodzili, trzaskały drzwi samochodów, zapalały się silniki. Sporo osób zostało jednak z filmowcem. Co było do przewidzenia: nie zostawia się przecież reżysera samego w wieczór premiery jego filmu. Dlaczego zlecono mi tę misję? Fakt, że niczym nie ryzykowałem, w pobliżu nie było żadnego ochroniarza. Ale gdybym zastrzelił faceta na oczach przyjaciół, szybko ustalono by mój rysopis. A jeśli szef mnie po prostu wystawił? To oczywiste, że miał mi za złe tę historię z brakuującym dokumentem.

W paczce, która nie potrafiła się rozstać z moim klientem, znajdowała się dziewczyna, pewnie aktorka z jego filmu: niezwykle ładna, drobna i szczupła, o twarzy madonny. Spod spódniczki widać było nogi tak smukłe i kształtne, że aż miło patrzeć. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że marzę o pracy w filmie wyłącznie w tym celu, by móc spotykać takie stworzenia.

Właściwie cóż stało temu na przeszkodzie? Czy muszę być płatnym zabójcą aż do emerytury? Co by się stało, gdybym filmowca nie zlikwidował? Czyż nie utraciłem już zaufania moich mocodawców?

W mojej głowie dojrzywał pewien plan. Musiałbym tylko wrócić po raz ostatni do mieszkania i zabrać rzeczy, do których byłem przywiązany. Wszystkie zmieszczą się w plecaku. Potem zaszyłbym się gdzieś na wsi, tak żeby ci z siatki nie zdołali mnie namierzyć. Dzięki pieniądзом, jakie zarobiłem, było to możliwe.

Jakiś głos w moim umyśle zdecydował, że to zwykłe mrzonki. Umowa to umowa. Jeśli nie zabiję klienta, jeszcze bardziej stracę zaufanie szefa, który z pewnością powierzył mi to

zadanie, żeby mnie sprawdzić. Nie zaprzepaszczę tak świetnej okazji, by się zrehabilitować. Oczywiście wiedziałem, że jestem niewinny tego, o co oskarżają mnie zwierzchnicy. Ale oni tego nie wiedzieli. Musiałem im udowodnić, że można na mnie liczyć.

Filmowiec powiedział: „No, zbieramy się”. Skierował się w stronę samochodu z czterema osobami, w tym z aktorką. Powiedziałem sobie, że czas działać, i ruszyłem w jego stronę.

Zauważył mnie i zatrzymał się, może zrobiłem wrażenie scenarzysty amatora, marzącego o spotkaniu i autografie. Już miałem zamiar wyciągnąć broń, kiedy młoda dziewczyna rzuciła się, zasłaniając go i krzyząc: „Uwaga!”.

Zatrzymałem się.

– Louise, co ci jest? – spytał reżyser.

– Czego pan sobie życzy? – zapytała mnie ze strachem.

Serce zaczęło mi bić tak samo boleśnie jak wtedy, gdy jaskółka była w mojej sypialni. Czulem na nim zeszyt małej, wsunięty pod kurtkę był niczym kamizelka kuloodporna.

Wyjąłem z kieszeni rękę z pistoletem i przycisnąłem ją do przesadnie bijącego serca.

– Ależ Louise, zostaw go, chłopak się przeraził. Niech się pan uspokoi. Co chciał mi pan powiedzieć?

Oczy aktorki nie pozwalały mi podejść bliżej. Poczułem, że nie wykonam tego zlecenia.

– Podziwiam pana – wybełkotałem. – Marzę, by z panem pracować.

– Ach, o to chodzi – powiedział filmowiec, przekonany, że chciałem z nim rozmawiać.

– Nie mam żadnych kwalifikacji – dodałem, podczas gdy Louise nadal tworzyła ze swojego wątego ciała wał obronny. – Jestem gotów robić wszystko, podawać kawę, szorować podłogi.

Dziewczyna i ja popatrzyliśmy sobie prosto w oczy.

– Ma pan prawo jazdy? – spytał jakiś facet z ich paczki.

– Mam prawo na motor – odpowiedziałem, pokazując moją maszynę zaparkowaną nieco dalej. – Jestem kurierem.

– To dobrze – powiedział trzeci gość. – Przy produkcji zawsze jest potrzebny kurier.

– Jak ci na imię? – zapytał filmowiec.

To tykanie musiało oznaczać, że zostałem zaangażowany.

Nie powinienem już mieć na imię Urban. Wybrałem imię innego papieża:

– Innocenty. [Po francusku Innocent, od słowa *innocent* - niewinny (przyp. tłum.).]

– Innocenty! Naprawdę? – wykrzyknął ze zdumieniem reżyser.

– Naprawdę – potwierdziłem.

– Genialnie. Straciłem już nadzieję, że kiedyś takiego spotkam.

Louise w końcu się odprężyła. Odetchnąłem. Trzeci facet zanotował mi na kawałku papieru adres wytwórni filmowej, do której mam się jutro zgłosić.

– Naprawdę? – z kolei ja zapytałem.

– Taka sama prawda jak to, że masz na imię Innocenty. Dobrze trafiłeś, bo jesteśmy akurat w świetnych humorach.

– Z wyjątkiem Louise – wtrącił filmowiec, wsiadając do samochodu.

Dziewczyna, zanim zrobiła to samo, posłała mi dziwne spojrzenie. Przekaz był jasny: „Mam cię na oku”. Czyżby wiedziała, do jakiego stopnia miała rację?

Auto odjechało. Zostałem sam, osłupiały.

Innocenty. O ile wiem, było to jedyne imię, zawierające w sobie negację. Może właśnie z tego powodu nikt nie nazywał tak swojego dziecka: „Mój syn? To ten, który nie zrobił nic złego”.

Nie swoją progeniturę, ale samego siebie tym imieniem ochrzciłem. Jeśli przyszło mi ono do głowy tak bez namysłu, to musiał być jakiś istotny powód. W przypadku płatnego zabójcy taka nagła decyzja, by nazwać siebie Innocenty, jest czymś więcej niż zmianą imienia, jest zmianą tożsamości.

Równie krótko się zastanawiałem, kiedy wymyśliłem sobie Urbana, imię pasujące jak ulał do zabójcy grasującego w mieście, któremu brak wszelkich uczuć pozwala likwidować nieznanym w samym sercu miasta. Wystarczyła chwila na wsi, by tożsamość uległa pęknięciu, wystarczyła jaskółka, żeby utraciła skuteczność, wystarczyła para pięknych oczu, by dała się zbałamucić.

Jak miałem na imię przed Urbanem? Czy już moje poprzednie imię było wymyśloną tożsamością? Musiało tak być. Nawet jeśli to imię wybrali mi rodzice, było wymysłem, a wymysł oznacza istnienie nieuchronnego etapu, na którym to, co wymyślone, samo jeszcze nie wie, czy sprosta inwencji odkrywcy. Ten moment tkwi gdzieś w pamięci małego dziecka, gdy Karol wypróbować Karola, gdy Olivier nie jest pewien, czy przyzwyczai się do Oliviera, gdy Paweł uważa Pawła za obciach, gdy Wincenty dziwi się, że wybrano dla niego Wincentego.

Kiedy zafundowałem sobie Urbana, poczułem upojenie nieporównywalne z żadnym innym. Nowe imię jest o tyle frapujące, że istniało przed nami. Wiedzieliśmy, że takie imię istniało, już je spotkaliśmy. I nagle łapiemy je od wewnątrz, wygłaszamy do bliźniego tę prostą magiczną formułę: „Na imię mi Urban”, i nikt w to nie wątpi, to najbardziej zadziwiający z sezamów, klucz do nowego bytu, wymazana tablica.

Teraz podarowałem sobie Innocentego. Ta dziewiczość była przestronna, nadawała się do

zamieszkania.

Wędrowałem po moim nowym imieniu, olśniony wielkimi pustymi pokojami, zachwycony bezradnością anonimowych sąsiadów. Uwielbiałem to stadium inauguracji.

Kto kupił nowy garnitur, ten aż się pali, by się w nim pokazać innym. Na rozpędzonym motorze przemierzałem miasto jako Innocenty. „Widzieliście, krzyczeli gapie w mojej głowie, na imię mu Innocenty!”. Opony wydawały piski.

Musiałem jednak pamiętać o moim planie: miałem wpaść do mieszkania i zabrać te nieliczne rzeczy, do których byłem przywiązany, a potem zniknąć – sprytnie ukryć Urbana.

Wchodziłem po schodach bez nostalgii. Drzwi były otwarte. Wewnątrz ktoś poprzewracał meble i opróżnił szafy. Mogłem się tego spodziewać. To dlatego szef zlecił mi niecierpiącą zwłoki misję na drugim końcu Paryża, każąc w dodatku być przed czasem. Czy łajdaki znalazły dokument, którego szukali?

Na lustrze w łazience rozpoznałem pismo Jurija, który za pomocą pasty do zębów zostawił zwięzłe i groźne „Do zobaczenia wkrótce”. Jeszcze jeden powód, by zniknąć.

W gruncie rzeczy, do czego byłem przywiązany? Widząc wszystko porozwalane na podłodze, co zresztą ułatwiało mi sprawę, stwierdziłem, że żadnej z tych rzeczy już nie chcę. Spakowałem do plecaka ubranie na zmianę i przybory toaletowe. Startując z nową tożsamością, lepiej podróżować z lekkim bagażem. Człowiek taszczący kufry nie jest już tak dziewiczy.

To, co najważniejsze, znajdowało się w wewnętrznej kieszeni mojej kurtki: dziennik Jaskółki.

Nie oglądając się za siebie, opuściłem mieszkanie Urbana.

Nie miałem gdzie spać i dobrze się składało, bo byłem zbyt podekscytowany swoją nową tożsamością, by odczuwać senność. W barze ochrzciłem Innocentego whisky. Nie tracąc żadnej okazji, oznajmiałem każdemu, kto chciał czy nie chciał słuchać, że nazywam się Innocenty. Potem wybuchałem śmiechem. Wielu myślało, że wyszedłem z więzienia. Wszyscy byli pewni, że jestem pijany. Nowe imię to coś, co uderza do głowy.

„Do zobaczenia wkrótce”, napisał Jurij na lustrze, w którym już nigdy nie będę po przebudzeniu kontemplował gęby Urbana. Doszedłem do wniosku, że nie znalazł poszukiwanego dokumentu.

Ponownie zadałem sobie pytanie, czy tym, czego szukali, był pamiętnik dziewczyny. Ten absurdalny pomysł złożyłem na karb pijaństwa. Zeszyt mógł interesować co najwyżej kogoś, kto znał Jaskółkę. Potrafiłem zrozumieć, że ukradł go minister, ale Rosjanie nie mieli pojęcia o jego istnieniu.

A jednak ta myśl, w zaskakujący sposób wyjaśniająca fakty, zaniepokoiła mnie.

Zbyt pijany, by prowadzić, musiałem doholować motor do miejsca jutrzejszego spotkania, które było już dzisiejszym. Zwaliwszy się na pojazd, drzemałem godzinę lub dwie.

Obudziłem się, skacząc na równe nogi, obserwowany przez dwóch typów, którzy dziwnie mi się przyglądali.

– Ja w sprawie pracy kuriera – wybelkotałem.

– A tak. Proszę za nami.

Musieli być poinformowani. Ucieszyła mnie ta gorliwość. Zaprowadzili mnie do budynku kilka kroków dalej. Hale produkcyjne są tak rozległe, że trudno to sobie wyobrazić.

Wnętrza wypełniały dzieła sztuki. Nie byłem w stanie ocenić, czy są ładne czy brzydkie, ale wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że kosztowały majątek.

Jeden z typów zaprowadził mnie do biura. Pomyślałem, że to pewnie biuro dyrektora personalnego. Tylko skąd to wrażenie, że już go widziałem?

Zanim zdążył mi zadać pytanie, oświadczyłem:

– Nie mam CV, nazywam się Innocenty.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. Zacząłem znowu:

– Wiem, że to dość rzadkie imię.

– Proszę usiąść.

Ten głos kogoś mi przypominał.

– Przez wiele lat pracowałem jako kurier. Jeśli chce pan nazwiska moich dawnych

pracodawców...

– Potrzebny jest nam tylko pana adres i numer telefonu.

Podał mi formularz.

– Z adresem trzeba będzie poczekać, aż go będę miał.

Zanotowałem numer komórki.

– A tymczasem gdzie pan mieszka?

– Widział pan: nigdzie.

– Mieszka pan na ulicy?

Nigdy nie widziałem dyrektora personalnego tak przejmującego się sytuacją swoich pracowników.

– Zapewniam pana: to nie potrwa długo.

Zapanowała cisza. Dlaczego nic nie mówi o warunkach zatrudnienia?

– Ile będę zarabiał?

– Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy pana zatrudnimy.

– Wasz szef wczoraj wieczorem zdecydował!

– Nasz szef?

– No, wasz wspólnik.

– Pozwoli pan, że będę robił, co do mnie należy?

– Proszę bardzo. Niech mnie pan pyta o to, co zwykle.

– Niech pan najpierw wypełni formularz.

Napisałem byle co. Przejrzał dokument bez zainteresowania. Już go miałem zapytać, czy udzieliłem właściwych odpowiedzi.

– Ile pan ma lat?

– To już jest w formularzu – powiedziałem.

Zmarszczył brwi. Moje położenie nie było dobre, miałem tego świadomość. Ale po co wypełniać dokumenty, jeśli powtarza się te same pytania?

– Niech pan opowie o sobie – powiedział.

Zaskoczony, udałem entuzjazm.

– Nie bardzo jest o czym opowiadać. Czuję się jak nowy, gotowy rozpocząć nowe życie.

– Skąd ta potrzeba rozpoczęcia nowego życia?

– To chyba zdrowe, nie sądzi pan? Nie zasklepiac się w jednym, oto mój ideał.

Popatrzył na mnie jak na debila. Nie dałem się zbić z tropu:

– Lubię zmieniać pracodawców. Spotykać nieznanomych. Pomagać ludziom, być użytecznym w firmie. Odkrywać ludzkie tajemnice, które skrywają w sobie społeczności.

Potrząsnął głową. Teraz już nie wątpił, że ma przed sobą debila.

– To prawda, posada kuriera to dogodny posterunek obserwacyjny – powiedział.

– Właśnie. Pośrednicy wiedzą o sprawach, o których ważniacy nie mają pojęcia.

– Opowie mi pan o nich, panie... Innocenty?

– Z przyjemnością. Pod warunkiem, że nie każe mi pan bawić się w donosiciela.

– Skąd ten pomysł, panie Innocenty?

– Proszę do mnie mówić po prostu Innocenty.

Roześmiał się i ja też. Z takim imieniem nie zjawiałem się z pustymi rękami.

– Tylko niech pan nie pyta, dlaczego matka tak mi dała na imię.

– W istocie, nie pytam pana.

– To dlatego, że była bardzo pobożna – zmyśliłem. – Wie pan, w Biblii jest rzeź niewiniątek: Herod rozkazał uśmiercić pierworodnego syna w każdej rodzinie, chodziło o zlikwidowanie Mesjasza. Chrystus był jedynym dzieckiem płci męskiej, które ocalało.

– Mówię panu, że o to nie pytam.

– Powstaje pytanie, co też jej przyszło do głowy, żeby mnie tak nazwać. Ten wybór nie był niewinny.

– To ma być żart?

– Imię związane z biblijną rzezią... Ciekawe, czy imię Bartłomiej często było nadawane francuskim dzieciom po słynnym dwudziestym czwartym sierpnia roku nieszczęścia...

– Ten plecak to wszystko, co pan posiada?

– Tak, pod pewnymi względami jestem jak buddyjski i mnich. Ten plecak nie zawiera więcej niż dziewięć przedmiotów.

– Co w nim jest?

– Maszynka do golenia, płyn do kąpieli, grzebień, zestaw do czyszczenia zębów, para skarpetek, majtki, spodnie, T-shirt.

– Osiem przedmiotów. Jednego brakuje.

– Jestem ważniejszy niż jacyś bonzowie. – A do pisania nic pan nie ma?

– Czemu miałbym pisać?

– Zawsze trzeba zapisać coś w notesie.

– Nie mam przyjaciół, niepotrzebny mi jest notes z adresami.

– Nie o tym mówiłem. Nie posiada pan jakiegoś zeszytu? Popatrzyłem na niego osłupiały.

– Nie.

Schwycił mój plecak, otworzył go i bardzo starannie przeszukał.

– Jest pan pewien, że to rozmowa w sprawie pracy? – zapytałem.



- Gdzie schował pan zeszyt?
- O czym pan mówi?
- Wiemy, że go pan ma. Dom ministra został przeczesany, pański także. Podniosłem się, by wyjść.
- Dokąd się pan wybiera?
- Dokądkolwiek.
- Za drzwiami są moi ludzie. Nie wypuścimy pana, dopóki nie znajdziemy zeszytu małej.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- W domu ministra zabił pan dziewczynę.
- Tak. Takie otrzymałem polecenie.
- Jej pamiętnik powinien być w teczce, którą pan zabrał.
- Nic takiego nie widziałem.
- Naprawdę?
- Dziwne, że interesuje was jakiś pamiętnik.
- Zajmijcie się nim.

Przywołał dwóch typów, którzy weszli i zabrali mnie jak paczkę. Serce biło mi mocno, uderzając w zeszyt ukryty pod kurtką.

Zamknięto mnie w pustej sali. Okno, cztery metry nad ziemią, było niedostępne. Mogłem sobie rzucać butami, szyba się nie stłukła. Nie było innego źródła światła.

Żadnej kamery. Temu dziwacznemu więzieniu nie brakowało intymności. Ilu ludzi w nim umarło?

Cement na podłodze wydawał się świeży. Powierzchnia podłogi, wyższa niż w korytarzu, nasuwała myśl, że niedawno ją podwyższono. Dlaczego? Wyobraziłem sobie rodzaj przekładańca ze zwłok. W kącie plastikowe wiadro miało mi służyć do załatwiania potrzeb.

Próbowałem opracować plan. Opróżniłem kieszenie: zeszyt, ołówek, kluczyki przez nieostrożność zostawiłem w stacyjce motoru. Żadnej paczki zapalek czy zapalniczki. Wpadłem we wściekłość. Jak zniszczę pamiętnik?

Bo taki był mój obowiązek. Wyrządziłem tej dziewczynie wszelkie możliwe zło: zabiłem ją i przeczytałem to, czego nie pozwalała czytać. Jedyнным sposobem odkupienia winy było zatajenie na wieki tego tekstu, który, jak odkryłem, pasjonował tłumy. Dziwne zaślepienie, w moim przekonaniu absurdalne, mimo że ja pierwszy doświadczyłem go na własnej skórze.

Przekartkowałem zeszyt, szukając jakiegś wiadomości albo sekretne go kodu. Prawie się ucieszyłem, że nic nie znalazłem. Nie miałem czasu do stracenia: tamci mogli w każdej chwili nadejść. Nie uda mi się przecież w nieskończoność unikać rewizji. Próbowałem zamazać tekst

ołówkiem, żeby stał się nieczytelny, ale grafit nie był dość gruby. A tamci mogli wytrzeć ołówek gumką.

Nie, istniało tylko jedno rozwiązanie. Było przykre i zastąpiłoby mi pokutę: należało rękopis zjeść. Podarłem go i zacząłem przeżuwać. Było to wstrętne i wyczerpujące. Zęby męczyły się na twardych kartkach. Gdybym tylko miał czym popić między kęsami! Język mi kompletnie wysechł od tego zucia. Ale jakie wino mogłoby pasować do pamiętnika dziewicy? W hołdzie Clelii zdecydowałem, że *romancee-conti*.

Musiałem poprzestać na przypuszczeniach. Jurij opowiadał mi o szefie jako wielkim kobieciarzu. Ten mężczyzna nie potrzebował Jaskółki: na pewno dysponował całą siatką do spraw dziewczyn. Ale może znał ministra. Może ten ostatni powiedział mu o dziwnym dzienniku, który ukradł własnemu dziecku. A może szef chciał skosztować dostojnej intymności, swoiście wyrafinowanego gwałtu, którego nie miał jeszcze na swoim koncie. W czasach kiedy większość nastolatków udostępnia publicznie swój blog, nic nie jest tak pożądane jak właśnie tajemnica.

Moje hipotezy są szalone: chyba to jedzenie papieru zamroczyło mi umysł. Podobno papier ma w sobie mnóstwo chemii. Doprowadzam do absurdu związek, jaki może połączyć człowieka z tekstem: przeczytałem go aż do kości, a teraz pożeram go w sensie dosłownym.

Zaczynam się w nim rozsmakowywać. Nie podoba mi się to, chociaż smak jest ciekawy: przypomina hostię. Szkoda, że dominują rozpuszczalniki: przy tylu kwasach trudno zachować trzeźwy umysł.

Wśród przodków papieru znajduje się skóra. Pismo od dawna upiększa tatuaż. Aby sobie pomóc w połykaniu najbardziej opornych stron, wyobrażałem sobie, że spożywam skórę młodej dziewczyny pokrytą kaligraficznym pismem.

Podsumowując, bycie strzelcem wyborowym służyło tylko jednemu: sam stałem się wyborym celem. Jaskółka patrzyła na mnie krócej niż minutę, ale swoim spojrzeniem trafiła w dziesiątkę. Kto pod kim dołki kopie: zabity zabójca. Zgadzam się umrzeć, by chronić tajemnicę, która mi się wymyka. Nie będę się tłumaczyć: to jest akt wiary.

W obozach maoistów strażnicy karmili osadzonych pasztetem z papieru, żeby zobaczyć, jaki będzie efekt. Nieszczęśni umierali na obstrukcję w najstraszniejszych męczarniach.

Umrzeć na obstrukcję jest czymś trudnym do zrozumienia. Człowiek, który z łatwością wyobraża sobie zgon z powodu biegunki, nie jest w stanie pojąć odwrotnej sytuacji. Pocięszam się, myśląc o tym, że wkrótce się dowiem, na czym to polega. Spełniłem akt miłości: zjadłem zapiski Jaskółki.

Jeszcze nigdy tak się nie zachwycałem jej związłością, przede wszystkim dlatego, że

skróciło to mój posiłek ofiarny, następnie dlatego, że zostały dzięki temu czyste strony na spisanie mojej spowiedzi ołówkiem, który ostrzyłem własnymi zębami. Dobiegam końca zeszytu, ołówka i rozregulowanego trawienia.

Każdy ginie od własnej broni.

Mówi się, że kochać zmarłą jest łatwo. Trudniej jest kochać tę, którą się zabiło. Dlaczego więc mam wrażenie, że nie zasłużyłem sobie na te kalumnie? Mam po prostu pewność, że żyję z Jaskółką. Dziwaczny zbieg okoliczności sprawił, że spotykam ją, uprzednio zabiwszy. Zwykle sprawy nie rozwijają się w takiej kolejności.

To jest historia miłości, której epizody zostały pomieszane przez szaleńca.

Historia z Jaskółką źle się zaczęła, ale kończy jak najlepiej, bo nie ma zakończenia. Umieram, boją zjadłem, zabija mnie we wnętrznościach, bólem tyleż skutecznym, co dyskretnym. Konam z ręką w jej ręce, ponieważ piszę: pisanie jest miejscem, w którym się w niej zakochałem. Ten tekst urwie się dokładnie w chwili mojej śmierci.